

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.— 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 20 sierpnia 1910. Nr. 34.

W 80-tą rocznicę urodzin.

(Treść na str. 2).



Nr. 34. **„Nowości Illustrowanych" zawiera: Dwie katastrofy w Kołomyi. — Wśród egzotycznych książąt. — Epidemia w Odessie. — Trzechsetletni jubileusz Bonifratrów w Krakowie. — Obchód grunwaldzki w Grybowie.**

Tragedya w Tatrach (szereg sensacyjnych zdjęć fotograficznych).

W 80-tą rocznicę urodzin.

Dzień 18 sierpnia br. będzie dniem wielce uroczystym w całej monarchii austryacko-węgierskiej. W dniu tym bowiem kończy cesarz Franciszek Józef I. ośmdziesiąty rok życia. Mimo tak podeszłego wieku i sędziwych lat, cieszy się monarcha Austro-Węgier doskonałem zdrowiem i w krzepkiej dłoni dzierży ster rządów nad państwem, rządów wcale — ze względu na skomplikowany skład monarchii — niełatwych. A ludy wszystkie otaczają osiwiałego cesarza niekłamaną czcią i poważaniem, należnem nietylko z powodu sędziwego wieku, ale przedewszystkiem z powodu olbrzymich zasług i prawdziwie wielkich czynów, dokonanych dla dobra tych ludów w ciągu przeszło 60 letnich rządów.

Cesarz Franciszek Józef I. urodził się 18 sierpnia 1830 r. w Schönbrunnie, jako syn arcyksięcia Franciszka Karola i jego małżonki Zofii, księżniczki bawarskiej, a jako bratanek cesarza Ferdynanda I. Wychowywał się pod kierunkiem hr. Henryka Bombelles'a i hr. J. Coroniniego, a przy współudziale kilku wybitnych sił pedagogicznych. Wówczas jednak ani młodziutki arcyksiążę, ani rodzice, ani jego wychowawcy nie wiedzieli, że za lat kilkanaście zasiądzie tronie. Rządy nad monarchią habsburską spadły nań niespodziewanie w 1848 r., gdy cesarz Ferdynand abdykował, a jego brat, arcyksiążę Franciszek Karol, zrzekł się tronu na rzecz syna. A spadły te rządy nietylko niespodziewanie, ale i w czasach niezwykle burzliwych i niespokojnych, w okresie rewolucyi i rozruchów w Wiedniu, na Węgrzech i wśród Włochów. Zdawało się, że monarchia austryacko-węgierska nie przetrzyma całego szeregu wstrząśnień, że grozi jej niechybny upadek i rozbicie. Wszak był to rok powszechnej rewolucyi, rok „wiosny ludów“.



Cesarz Franciszek Józef I. na koniu (ostatnie zdjęcie).

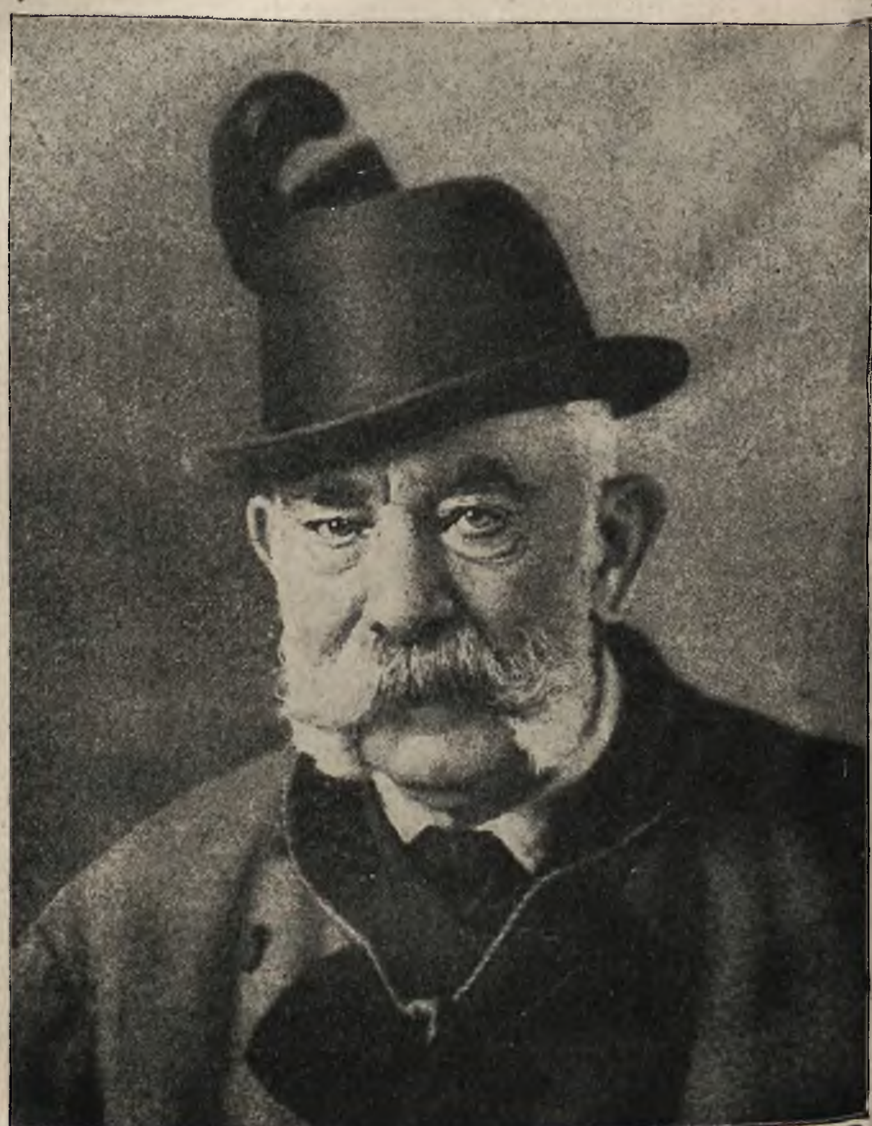
Mimo tak fatalnych i niepomyślnych warunków, młody cesarz, objąwszy w grudniu 1848 r. ster rządów, nie cofnął się przed piętrzącemi się trudnościami, lecz śmiało i odważnie stawił im czoło. Szczęście mu sprzyjało. Pokonał powstanie na Węgrzech, uśmieszył rozruchy w Wiedniu, zwyciężył armię włoką. W krótkim więc czasie wzmocnił zachwiane stanowisko monarchii i uporał się z trudnościami z zakresu polityki zewnętrznej, po wojnie z Włochami i Prusami.

Wówczas uznał cesarz Franciszek Józef I., iż nadszedł czas stosowny, by dokonać szeregu reform wewnątrz państwa, że nadszedł czas przemienienia formy rządów z absolutystycznej na konstytucyjną.

Od tej chwili w dziejach monarchii austryacko-węgierskiej zaczęła się nowa epoka, nowa era. Jako mocarstwo pierwszorzędne w Europie, odgry-



Cesarz Franciszek Józef I.



Cesarz Franciszek Józef I. w stroju myśliwskim.

rolę ogromnie doniosłą, decydującą w wielu wypadkach. Złożone z dwu równouprawnionych części: Przedlitawii. Zalitawii, posiada dwa parlamenty i dwa rządy, mimo to na zewnątrz jest organizmem jednolitym, a łącznikiem obu połów jest osoba cesarza.

Osobisty wpływ monarchy chroni też państwo niejednokrotnie przed burzami i wstrząśnieniami wewnętrznemi, na jakie jest monarchia narażona z powodu rozbieżnych dążeń ludów, wskład monarchii wchodzących. Wszystkie te ludy jednak, choć różnorodne mają aspiracye, choć względem siebie wrogo są nieraz usposobione, spoglądają z ufnością na postać sędziwego monarchy, wierząc, że pod jego rządami mogą się swobodnie i spokojnie rozwijać.

Przedewszystkiem zaś z ufnością odnosimy się do osoby cesarza, my, Polacy, którzy tylko w tej dzielnicy dawnej Polski mamy zapewnione swobody polityczne i rozwój narodowy. Dzięki też tym swobodom Galicya rozwinęła się bardzo znacznie w okresie rządów konstytucyjnych i postąpiła poważnie naprzód w dziedzinie przemysłu, handlu, oświaty, stosunków sanitarnych i t. p. A o ile pojawiają się nieraz skargi, zupełnie zresztą uzasadnione, na pewne lekceważenie potrzeb naszego kraju ze strony rządu, to powodów tego szukać należy wśród centralistycznej biurokracyi niemieckiej, która radaby protegować jedynie kraje niemieckie i narodowość niemiecką ze szkodą innych ludów, nie można zaś odnosić ich bezwarunkowo do osoby cesarza, który



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Tragedya w Tatrach: Członkowie pogotowia ratunkowego; 1 przewodnik Tylka, który znalazł zwłoki Szulakiewicza; 2. p. Zdyb; obok niego naczelnik Zaruski.

z jednakowemi uczuciami odnosi się do wszystkich swych krajów i ludów.

W ciągu 62-letnich rządów dał cesarz Franciszek Józef I dużo tego dowodów. Otacza go też powszechna i szczera cześć.

W życiu prywatnem i rodzinnem spotkały cesarza Franciszka Józefa liczne a ciężkie ciosy i nieszczęścia. Stracił w tragiczny sposób brata Ferdynanda, jako cesarza Meksyku, Maksymiliana I., stracił jedynego syna, arcyksięcia Rudolfa, zmarłego tragicznie 1889 r., stracił w tragiczny sposób małżonkę, cesarzową Elżbietę, zamordowaną 1898 r. w Genewie.

Miłość ojcowską przelał cesarz Franciszek Józef na dwie swoje córki, Gizelę, wydaną za księcia Leopolda bawarskiego, i Maryę Waleryę, żonę arcyksięcia Franciszka Salwatora.

Mimo tylu nieszczęść i bolesnych przejść, mimo niezwykle sędziwego wieku, trzyma się cesarz Franciszek Józef bardzo krzepko i cieszy się doskonałem zdrowiem. Obecnie — jak każdego roku — przebywa przez letnie miesiące w miejscowości Ischl, gdzie w gronie najbliższej rodziny spędzi ośmdziesiątą rocznicę swych urodzin.

Tragedya w Tatrach.

Ostatni a tak straszny wypadek w Tatrach, zakończony tragiczną śmiercią dwóch ludzi, stanowi dotąd sensacyę dnia i przedmiot rozmów i artykułów dziennikarskich. Więc choć już w poprzednim numerze poruszyliśmy tę sprawę, zamieszczając kilka zdjęć, ze strasznym wypadkiem związanych, dziś wracamy do niej znowu, wsparci wiadomościami autentycznemi, z Zakopanego nam nadesłanemi, zamieszczamy też szereg zdjęć fotograficznych, do tragedyi tatrzańskiej się odnoszących.

Wycieczka turystów pp. Bizonia, Jarzyny i Szulakiewicza zdążała ku grupie potężnych szczytów i turni, wznoszących się w Jaworowej Grani, o dwu najważniejszych wzniesieniach, a to Jaworowym Szczycie i Małym Jaworowym Szczycie, które ku północy opadają w Dolinę Jaworową potężnemi ścianami o wysokości 300 do 400 m.

Do niedawna nikt nie próbował nawet utorować drogi poprzez urwiska obu tych ścian. Dopiero 1908 r. taternicy dr. Martin i Komarnicki znaleźli sposób przejścia północnej ściany Jaworowego Szczytu. Na przejście drugiej ściany, ściany Małego Jaworowego, wybrali się właśnie Jarzyna i ś. p. Szulakiewicz. Być może, że cel byliby osiągnęli, gdyby nie fatalne warunki atmosferyczne, wobec których przedsięwzięcie miało charakter wprost lekkomyślny.

Z Zakopanego wyszli turyści w czwartek, w piątek rano zaś rozpoczęli szturm do ściany. Ściana ta liczy do 300 m. wysokości, jest prawie pionowa, o bardzo słabej „rzeźbie“, co właśnie utrudnia tak bardzo wyjście na szczyt. Mimo to posuwali się naprzód, w partyach środkowych, stosunkowo łatwiejszych, nawet dość szybko. Związani 20-metrową liną, zachowując ściśle przepisy tatrzernic doszli



Tragedya w Tatrach: Panorama Jaworowego. Z miejsca oznaczonego (X) spadł ś. p. Szulakiewicz, w pobliżu znalazł śmierć ś. p. Bachleda.



Tragedya w Tatrach: Zarząd sekcyi turystycznej, który brał udział w akcyi ratunkowej. 1. p. Klemensiewicz, 2. prof. Król, 3. p. Goetel, 4. p. Kisielnicki. (Fot. J. Jaworski, Zakopane).



Tragedya w Tatrach: Pogotowie ratunkowe zakopiańskie wraz z ochotnikami węgierskimi, p. Bizoń, (X) ze Lwowa, który brał udział w wycieczce, lecz w czas się cofnął; 1 i 3 bracia Komarniccy z Węgier; 2 p. Gula z Węgier.

do końcowej, 80-metrowej ściany. Czekała ich najtrudniejsza partya. Puścili się jednak śmiało naprzód. Przodem szedł Jarzyna, poniżej stał Szulakiewicz, starając się zabezpieczyć towarzysza przez założenie liny za odstający głaz. Nagle Jarzyna, dotknięty skurczem dłoni, odpadł od skały i koziołkując, zaczął wolno zlatywać w dół. Szulakiewicz przytrzymywał linę z całej siły przy skale, siła jednak upadku była tak wielka, że lina zerwała się z głazu i porwała za Jarzyną także Szulakiewicza. Na szczęście zaczepiła się o poniżej wystającą skałę i wstrzymała dalszy upadek. Mimo to obaj turyści poranili się, zwłaszcza Szulakiewicz odniósł ciężkie uszkodzenia, tak że o dalszej drodze lub o powrocie o własnych siłach mowy nie było. Jarzyna, który wyszedł względnie szczęśliwie i cało z przygody, przywiązał Szulakiewicza liną do skały, zostawił przy nim trochę żywności, a sam rozpoczął odwrót. Mimo trudności i niebezpieczeństw zeszedł szczęśliwie w dół, dotarł do wsi Jaworzyny, już po węgierskiej stronie leżącej, stamtąd furką dostał się do Morskiego Oka i telefonicznie zawezwał na pomoc pogotowie ratunkowe.

Nie zwlekając ruszyło pogotowie z naczelnikiem Maryuszem Zaruskim i jego zastępcą, przewodnikiem Klimkiem Bachledą na czele z Zakopanego ku Jaworzynie, aby nieść pomoc Szulakiewiczowi. Za pierwszą ekspedycyą ratunkową ruszyła na pomoc druga, z dr. Klemensiewiczem, prezesem sekcyi turystycznej na czele, a złączywszy się w Jaworzynie, doszły do stóp skały, gdzie znajdował się Szulakiewicz, następnego dnia rano i zastały tam już Jarzynę i trzech przewodników.

Natychmiast rozpoczęto akcyę ratunkową, której trudności były wprost niesłychane. Potoki deszczu, później śnieg, wicher, zimno, mgła, oto warunki, wśród jakich pogotowie ratunkowe posuwało się naprzód. Podzielono się na trzy partye, z których każda inną drogą zdążała w górę.

W niedzielę nadeszły nowe siły a między niemi najtęższi przewodnicy Jędrzej Marusarz i Wojciech Tylka Suleja. Im też udało się wreszcie w poniedziałek w południe dotrzeć do miejsca, wskazanego przez Jarzynę, gdzie istotnie znaleźli Szulakiewicza. Niestety jednak znaleźli zimne tylko zwłoki dzielnego turysty. W pozycyi siedzącej, oparty głową o skałę, odwiązany z liny, tkwił w szczelinie między ścianą a głazem. Zdaje się, że popadłszy w omdlenie, w tym stanie z zimna i wyczerpania skonał.

Nie na tem jednak skończyła się tragedya i nie tylko ś. p. Szulakiewicz był jej ofiarą. W czasie bowiem akcyi ratunkowej przepadł bez śladu dzielny przewodnik tatrzański, słynny Klimek Bachleda i jak się później okazało, zginął tragiczną śmiercią w górach, spadłszy w przepaść, głęboką na przeszło 200 metrów.

Klimek Bachleda ruszył z pierwszą ekspedycyą ratunkową na pomoc ś. p. Szulakiewiczowi, razem z kilku doświadczonymi taternikami, pod kierunkiem p. M. Zaruskiego. Z nim też razem oraz ze Zdybem ruszył Bachleda na najniebezpieczniejszą partyę i doszedł do połowy wysokości ściany. Tam odwiązał się z liny i na własną rękę czynił poszukiwania. Wobec spóźnionej pory, ogólnego przemęczenia i mgły, dał naczelnik Zaruski znak do odwrotu, wezwania tego jednak Bachleda nie usłuchał. Wówczas Zaruski dotarł możliwie najbliżej do Bachledy i zawiadomił go, iż reszta pogotowia przerywa pracę, a dla niego zostawia liny. Od tej chwili ślad wszelki po Bachledzie zaginął. Skoro zauważono nieobecność znakomitego przewodnika, skoro obliczono, że nieobecność tę tylko nieszczęśliwym wypadkiem wytłómaczyć sobie można, zaraz po zniesieniu zwłok ś. p. Szulakiewicza ruszyły nowe ekspedycye ratunkowe na poszukiwanie zaginionego przewodnika. Pełne pięć dni trwały poszukiwania. Stracono wogóle nadzieję odnalezienia choćby zwłok Bachledy, przypuszczano bowiem, że dzielny przewodnik spadł w jakąś niedostępną przepaść. Dopiero w sobotę w południe jedna z ekspedycyi ratunkowych dotarła do zwłok Bachledy. Okazało się, że spadł on z północnej ściany Jaworowego, z wysokości 200 metrów. Trup leżał z roztrzaskaną czaszką i głową, prawie odciętą od tułowia. Wyżej nieco znaleziono na skale rozdarty serdak.

Smierć Klimka Bachledy spotkała się w szerokich kołach mieszkańców Zakopanego, a zwłaszcza w kołach turystycznych, z szczerem współczuciem.



Tragedya w Tatrach: Odpoczynek pogotowia ratunkowego w drodze pod opieką żandarmów węgierskich.



Tragedya w Tatrach: Przenoszenie zwłok ś. p. Szulakiewicza przez piargi w dolinie pod Żlebem Jaworowego.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

15 (Ciąg dalszy).

Chodnik zniżał się łagodnym spadkiem. Napotkali jeden stopień, potem drugi i skręcili na prawo. W tem miejscu natknęli się na drzwi, wprawione w framugę kamieni, starannie spajanych cementem. Pan Lenormand popchnął drzwi, ustąpiły. Zatrzymał się.

— Poczekaj Gourel, namyślmy się. Czyby nie było lepiej uprzedzić Dondeville'ów? Ribeira przez swego wysłannika może się ubezpieczyć na wypadek odkrycia podziemnego ganku. Otóż przypuśćmy, że oni nas oczekują i że my wpadniemy w pułapkę...

— Dwóch nas jest, szefie!

— A jeśli ich jest dwudziestu?

Spojrzał przed siebie. Ganek szedł pod górę i zamykały go drugie drzwi, odległe o jakieś pięć czy sześć metrów.

— Dojdźmy aż tam — rzekł — zobaczymy, co dalej...

Poszedł, a zanim Gourel, któremu nakazał drzwi pozostawić otwarte. Drugie drzwi jednak były zamknięte.

— Rygiel zasunięty po tamtej stronie — rzekł pan Lenormand. — Sprawiajmy się cicho i powracajmy...

Powrócili tedy ku pierwszym drzwiom, lecz tu Gourel, który szedł pierwszy, wydał okrzyk zadziwienia:

— Ot... toż te drzwi zamknięte!

— Jakto! a przecież ci mówiłem, żebyś je zostawił otwarte!

— Ja też ich nie zamykałem, ale zatrzasnęły się same.

— Gdzieżby też! Słyszelibyśmy stuknięcie. Lecz jak się to stało? Jest klucz? Tak! obraca się... ale z drugiej strony jest zasuwka.

— Któżby ją mógł zasunąć?

— Oni, do licha! za naszymi plecami... Czyżby się ukrywali w tym pawilonie niezamieszkałym? Jakbądź, wpadliśmy w pułapkę.

Borykał się z zamkiem, wpakował nóż swój w szparę, próbował wszystkich sposobów, wreszcie znużony westchnął:

— Trudno, niema rady!

— Jakto, szefie... a więc... a więc bylibyśmy zgubieni?

— Hm!... takby to wyglądało...

Poszli do drugich drzwi i znowu wrócili do pierwszych. Tak jedne, jak drugie były silne, grube, z twardego drzewa, umocnione poprzecznemi listwami.

— Potrzebaby siekiery — rzekł szef bezpieczeństwa, albo jakiego mocnego narzędzia, któremby można wyciąć przymocowanie zasuwki... a my nie mamy nic...

Ogarnęła go nagła wściekłość i rzucił się na drzwi, chcąc je koniecznie wyważyć. W końcu zwyciężony, bezsilny, rzekł do Gourela:

— Słuchaj, zobaczymy jeszcze za godzinę, za dwie... teraz jestem do ostatka wyczerpany... spać będę... Czuwaj przez ten czas... A gdyby przyszli nas zaczepić...

— Ach, niech tylko przyjdą, to nasze zbawienie! — zawołał Gourel, pragnąc gorąco choć nierównej bitwy.

Pan Lenormand wyciągnął się na ziemi i po krótkiej chwili zasnął.

Obudziwszy się, nie mógł się na razie zoryentować, nie rozumiał, gdzie jest i co się z nim dzieje, ani jakie właściwe cierpienie mu dolega.

— Gourel! — wołał — gdzie ty jesteś, Gourel?

Nacisnąwszy sprężynkę latarki, ujrzał Gourel'a, leżącego obok siebie, pogrążonego w twardym śnie.

— Co mi tak dokucza? — myślał — jakieś wewnętrzne bolesne ciągoty... Ach tak, to głód poprostu... umieram z głodu! Któraż to godzina być może?

Zegarek, nienakręcony, stał. Tak samo zegarek Gourel'a. Gourel zbudził się z tem samem uczuciem strasznego głodu. Wymiarkowali też, że dawno przespać musieli godzinę zwykłego śniadania.

— Nogi mi zupełnie ścierpły — oświadczył Gourel — a stopy mam zlodowaciałe. Śmieszne uczucie.

Chciał nogi rozetrzeć.

— No proszę! Co prawda, nie w lodzie trzymałem nogi, ale zato w wodzie... Niech pan spojrzy, szefie, tam od strony pierwszych drzwi stoi prawdziwa kałuża!

— Woda zaskórna sączy się z gruntu — odpowiedział pan Lenormand — posuń się ku drugim drzwiom, obeschniesz.

— Ale co pan robi, szefie?

— Czy ty myślisz, że ja się dam żywcem zagrzebać w tej tu piwnicy? Jeżeli drzwi zamknięte, starajmy się przebić ścianę.

Po jednemu wyciągał kamienie, wystające na wysokość jego ręki, w nadziei, że wydłubie drugi korytarz, który powolnem nachyleniem wyprowadzi go na powierzchnię ziemi. Ale praca była długa i uciążliwa, gdyż w tej części podziemia kamienie osadzone były na cemencie.

— Szefie, szefie — bąknął Gourel zdławionym głosem — pańskie nogi stoją w wodzie.

— Co znowu! Ale prawda... No, cóż chcesz, osuszymy je na słońcu...

— Ale czyż pan nie widzi?

— Czego?

— Że to wzbiera, szefie, wzbiera...

— Co wzbiera?

— Woda!

Dreszcz przebiegł mu po skórze. Teraz nagle zrozumiał. Nie była to niewinnie sącząca się wilgoć, ale zalew, zręcznie przygotowany jakimś piekielnym sposobem.

— Ach, ten łotr — zgrzytnął — jeżeli kiedy dostanę go w ręce!

— Tak, tak, szefie, ale przedtem trzeba się stąd wydostać... Co do mnie...

Gourel był zupełnie przybity, niezdolny wytrzesać jakiś pomysł, wykombinować plan.

Pan Lenormand przypatrzył się wzbierającej wodzie. Do wysokości czwartej swojej części już pierwsze drzwi były zalane; woda sięgała do połowy drogi pomiędzy obu drzwiami.

— Postępuje zwolna, ale bezustannie — rzekł. — Za kilka godzin będziemy jej ponad głowę mieli.

— Ale to straszne, szefie, to okropne! — jęknął Gourel.

— Dałbyś pokój oto i nie nudziłbyś jeremiadami! Płacz, jeśli cię to bawi, ale niech ja tego nie słyszę!

— To głód tak mnie osłabia, szefie... w głowie mi się kręci.

Położenie w istocie pełne było grozy i gdyby pan Lenormand miał mniej energii, byłby porzucił tak daremną walkę. Nie można się było spodziewać, że Ribeira się wzruszy i otworzy im drogę. Ani także nie można się było spodziewać pomocy od braci Dondeville lub Hartoga, gdyż trzej inspektorowie o istnieniu podziemnego tunelu nie wiedzieli przecież.

— No, no... — powtarzał pan Lenormand — cóż to za głupi interes... Trzeba przecież coś wynaleść... Poświeć mi, Gourel.

Przyciśnięty do drugich drzwi, zbadał je od góry do dołu. I z tej strony, jak prawdopodobnie i z drugiej, znajdował się rygiel, ogromny rygiel. Ostrzem noża poodkręcał śrubki i odjął rygiel.

— Co ma być z tego? — pytał Gourel?

— Ten rygiel jest żelazny, dość długi, dość ostry; nie jest to tyle, co motyka, ale zawsze to jest coś...

To mówiąc, zagłębił narzędzie w ścianę korytarza, trochę przed murowanym słupkiem, który podtrzymywał zawiasy drzwi. Tak, jak oczekiwał, poza pierwszą warstwą cementu i kamieni znalazł miękką ziemię.

— Do roboty! — zawołał.

— I owszem, szefie!... Ale proszę mi wytłómaczyć...

— To bardzo proste; trzeba wykopać dokoła tego słupa przejście trzech lub czterech metrów długości, które połączy się z tunelem poza drzwiami i pozwoli nam uciec.

— Ale na to godzin trzeba, a tymczasem wody przybywa.

— Poświeć mi, Gourel.

— Za pół godziny najdalej ona nam zaleje nogi...

— Poświeć mi, Gourel.

Myśl pana Lenormand okazała się dobrą i przy małym wysiłku, zagarniając ku sobie i wyrzucając w kurytarz wygrzebaną ziemię, wydłubał w końcu otwór, dość duży, tak że mógł się weń wsunąć.

— Możebym ja pomógł, szefie? — rzekł Gourel.

— A! wracasz do życia? Owszem pracuj. Kieruj się tylko tem, gdzie jest słup.

W tej chwili woda dosięgała im do kostek. Czy zdążą zaczęte dzieło skończyć?

Tymczasem praca stawała się coraz trudniejszą, gdyż poruszona ziemia przeszkadzała im coraz bardziej, a oni z coraz większej odległości, leżąc na brzuchach, musieli ją na zewnątrz usuwać.

Po upływie dwóch godzin dzieło dobiegało może do trzech czwartych, ale woda sięgała już po łydki. Za godzinę dosięgnie ujścia lochu, który wygrzebali.

A w takim razie koniec...

Gourel, osłabiony z braku pożywienia i nazbyt gruby, by się w tym coraz ciaśniejszym korytarzyku poruszać, musiał dać pokój robocie. Nie ruszał się już, drżący z trwogi, czując, że go ta lodowata woda zwolna obejmuje.

Pan Lenormand zaś pracował z niestrudzonym zapałem. Ciężka, mrówcza praca, spełniana w dusznych ciemnościach... Krwawiły mu ręce. Upadał z głodu. Z trudem oddychał w dusznej jamie, zaś od czasu do czasu westchnienia Gourel'a przywodziły mu na myśl grozę położenia.

Jednakże nic już nie mogło go zniechęcić, gdyż oto teraz napotkał przed sobą takie same, jak pierwej cementowane kamienie, stanowiące ścianę ganku. Najtrudniejsze to było, ale dochodził do końca.

— Woda się podnosi — krzyczał zdławionym głosem Gourel.

Pan Lenormand zdwoił wysiłek. Nagle ostrze rydla, którym się posługiwał, uderzyło w próżnię. Przejście wybite na wylot! Należało je już tylko rozszerzyć, co już szło o wiele łatwiej, zważywszy, że już można było wypychać materyał przed siebie.

Gourel, oszalały ze strachu, ryczał jak zarzynany zwierz. Pan Lenormand się tem nie wzruszał. Ratunek był tuż... tuż...

Jeszcze jeden ostatni wysiłek... otwór się zwiększył... Przecisnął się.

— Pójdź, Gourel! — zawołał, wracając po towarzysza.

Wyciągnął go półżywego za ręce.

— No, otrząśnijże się, niedołęgo, jesteśmy uratowani!

— Tak pan myśli, szefie, tak pan myśli?... Ależ i tu mamy wodę po piersi.

— Idź tylko naprzód... dopóki jej nie będziemy mieli powyżej ust. A latarka twoja?

— Zamokła. Na nic.

— Mniejsza o to.

— Stopnie! — zawołał z radością — dwa stopnie, trzy!... schodki. Nareszcie!

Wychodzili z wody, z tej przeklętej wody, która już prawie ich zalewała i było to uczucie rozkoszne. Promienieli rozradowani, w poczuciu wybawienia.

— Stój! — szepnął pan Lenormand.

Potrącił o coś głową. Wyciągnąwszy obie ręce, parł w przeszkodę, która natychmiast ustąpiła. Było to wieko klapy, które, gdy się uniosło, odsłoniło piwnicę, oświetloną przez okno światłem jasnej nocy.

Pan Lenormand podniósł wieko i wyszedł w górę po ostatnich stopniach.

Nagle padła mu na głowę jakaś zasłona. Jakieś ręce go chwyciły. Poczuł, że go otula jakaś kołdra, jakiś rodzaj worka — i że go obwiązują sznurami...

— A teraz brać drugiego! — przemówił ja kiś głos.

Widocznie tak samo obeszli się z Gourel'em. Ten sam głos przemówił:

— Gdyby krzyczeli, zabij ich odrazu. Czy masz twój sztylet?

— Mam go.

— W drogę! Bierzcie ich, po dwóch każdego... Bez świateł i jak najciszej... Ostrożnie... od samego rana przeszukują ogród sąsiedni... jest ich tam dziesięciu lub piętnastu i rozbijają się jak wściekli.

Pan Lenormand poczuł, że go podnoszą, że go niosą, a po chwili wydało mu się, że wyszli na świeże powietrze.

Usłyszał turkot wozu i stukanie kopyt końskich.

— Przybliż wózek — rozkazywał głos.

Położono go na deskach. Gourel'a obok niego. Koń ruszył kłusem.

Jazda trwała może pół godziny.

— Stój! — rozkazał głos. — Znieście ich! Hej, woźnico! obróć wózek w ten sposób, żeby tył dotykał baryery mostu... Dobrze, tak... Niema łodzi na Sekwanie? Nie? No, nie traćmy czasu... Ale, ale, czy przywiązaliście im kamienie?

— Tak, i to uczciwie ciężkie.

— No, kiedy tak, to dalejże! Poleć Bogu twoją duszę, panie Lenormand i módl się za mnie. Jestem Parbury-Ribeira, lepiej znany pod nazwiskiem barona

Altenheim. No cóż? Jesteś gotów? Dobrej drogi, panie Lenormand i bywaj zdrów!

Umieścili pana Lenormand na baryerze mostu. Popchnęli go. Poczuł, że leci w próżnię i posłyszał jeszcze głos urągający:

— Dobrej drogi! Szczęśliwej podróży!

W dziesięć minut później ten sam los spotkał inspektora Gourela.

Rozdział III.

Parbury-Ribeira-Altenheim.

Dzieci bawiły się w ogródku pod opieką Karoliny, przyjaciółki i współpracowniczki Genowefy, a pani Ernemont, dawszy im podwieczorek, wróciła do saloniku i porządkowała coś na biurku.

Nagle obróciła się niespokojnie, gdyż wydało jej się, że ktoś za nią stoi.

— Ach, to ty! — wykrzyknęła. — Skąd się tu wziąłeś? Jak wszedłeś?

— Cicho — szepnął książę Sernin. — Posłuchaj mnie, nie traćmy czasu... Gdzie Genowefa?

— Poszła odwiedzić panią Kesselbach, nie wróci aż za godzinę.

— To dobrze. Przyjdą bracia Dondeville. Mam się tu z nimi spotkać. Jakże się miewa Genowefa? Czy od tych dziesięciu dni, od mojego wyjazdu, widziała Piotra Leduc?

— Widziała go ze trzy razy i znowu go dziś zobaczy u pani Kesselbach, bo wedle twego rozkazu, przedstawiła go tej pani.

— Jakżeż, czy interesuje się nim?

— Owszem, interesuje się nim, bo powiedziałeś jej, że to człowiek nieszczęśliwy. Ale to nie jest żadne żywsze uczucie...

— Zostaw mnie to, to już moja rzecz...

— Daruj, mój drogi, ale i mnie to obchodzi... Dla Genowefy dobrzeby było, gdyby znalazła jakiego poczciwego chłopca swojej sfery... naprzykład ten nauczyciel, pan Landat... Ale słyszysz, ktoś gwizdnął?...

— To bracia Dondeville... Przyprowadź ich i zostaw nas samych.

Zaledwie weszli bracia Dondeville, ks. Sernin jął ich wypytywać ze zwykłą sobie zwięzłością:

— Wiem, co mówią dzienniki o zniknięciu pana Lenormand i Gourel'a. A wy, czy wiecie o tem coś więcej?

— Nie. Zastępca szefa, pan Weber, wziął sprawę w swoje ręce. Od tygodnia przetrząsamy ogród Zacisza, ale nie podobna dojść, jakim oni sposobem zniknęli. Cała policya jest w rozsypce. Nigdy tego jeszcze nie bywało... szef bezpieczeństwa ginie bez śladu!

— A co się tyczy Gertrudy?

— Gertruda była wspólniczką, to jest niewątpliwe. Pan Weber i pan Formerie badali także jej siostrę Zuzannę, ale nic obciążającego ją znaleść nie mogli. Gdyśmy jej dziś rano powiedzieli o morderstwie siostry, wpadła w straszną rozpacz, zupełnie szczerą. Odtąd tylko płacze i płacze w swoim pokoju.

— Czy to tylko macie mi do powiedzenia?

— O nie, są inne rzeczy jeszcze, których nie powtarzaliśmy dziennikarzom.

Tu opowiedzieli księciu Sernin dzieje ostatnich dwóch dni pana Lenormand, a więc o nocnych odwiedzinach dwóch bandytów w domu Piotra Leduc, o próbie wykradzenia Genowefy przez Ribeirę, o podejrzeniach, przez chwilę skierowanych na nauczyciela, o przybyciu starego Steinwega i o jego zniknięciu z pałacu. W końcu zdali sprawę z ostatniego wieczora, z pogoni za Gertrudą i jej wspólnikiem, jakoteż wspomnieli o smutnym końcu Gertrudy i o tych dwóch sylabach „wil-la“ — „wil-la...“ które ta wyszeptała konając.

— I nikt, oprócz was dwóch, tych szczegółów nie zna?

— Nikt, ponieważ pon Lenormand i Gourgel zginęli. W zeznaniach naszych mówiliśmy o tem tylko, o czem już inni, pani Kesselbach albo Hartog zeznali.

— A czy też zawsze tem samem zaufaniem obdarzają was w prefekturze?

— Pan Weber nam tylko ufa.

— No, nie wszystko przepadło — rzekł książę po chwili. — Jeżeli pan Lenormand popełnił jaką nieostrożność i życiem ją przypłacił — jak sądzę — to bądź co bądź, przyznać trzeba, że dzielnie rzecz prowadził; należy tylko iść dalej jego śladem. Jeżeli nas wróg wyprzedził, my go dogonimy. Trzeba zaś przedewszystkiem wyszukać starego Steinwega, gdyż on to trzyma całą tajemnicę.

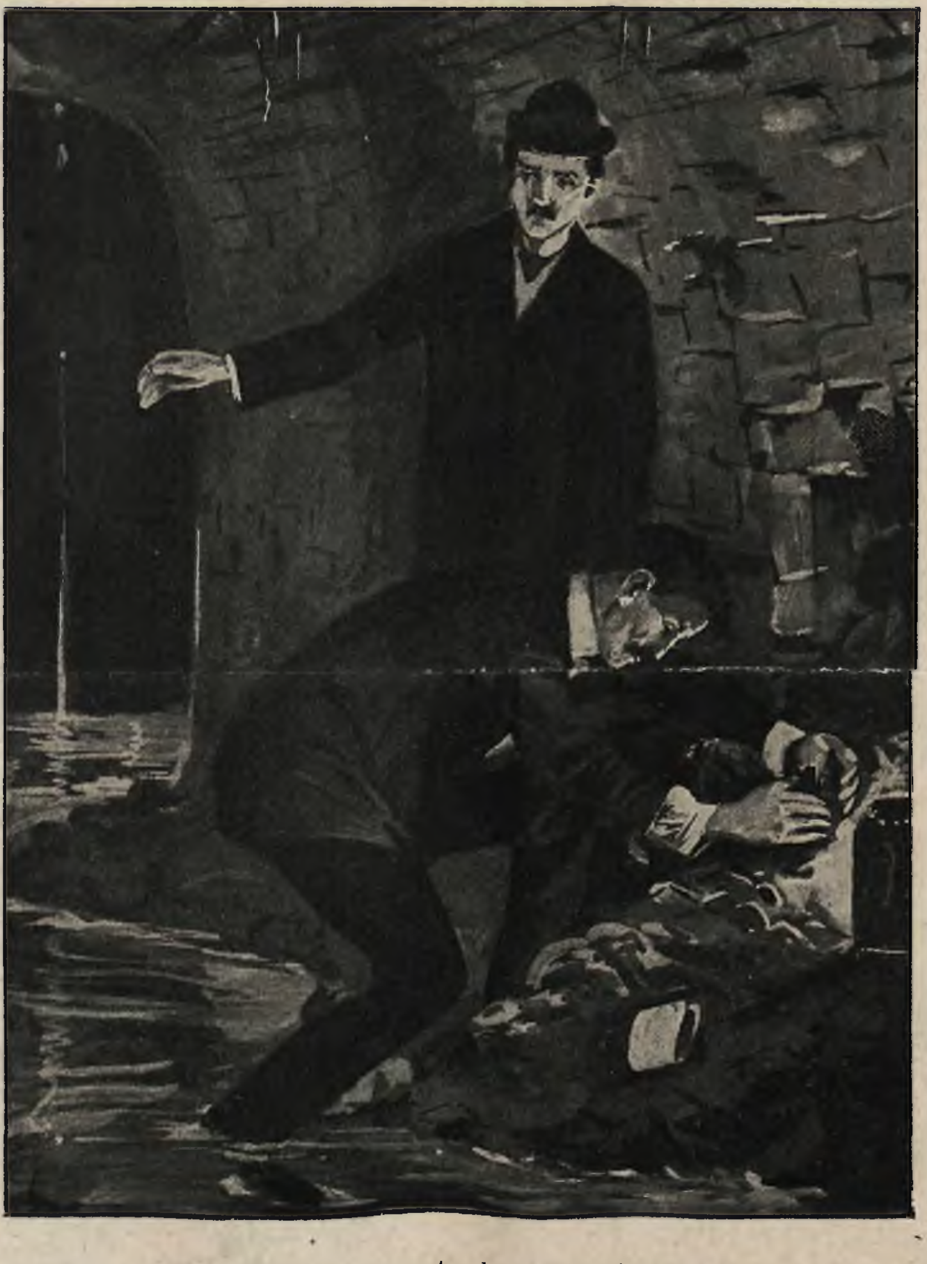
— A że Ribeira zabrał go do siebie, więc trzebaby się wywiedzieć, gdzie Ribeira mieszka?

— W tem właśnie rzecz!

Pożegnawszy braci Dondeville, książę udał się do Zacisza. Automobile stały przed bramą i dwóch ludzi przechadzało się tam i z powrotem, jak gdyby utrzymując straż.

W ogrodzie obok pawilonu pani Kesselbach, książę spostrzegł siedzących na ławce Genowefę, Piotra Leduc i jakiegoś grubego pana w monoklu. Wszyscy troje rozmawiali, żadne go nie zauważyło.

Tymczasem kilka osób wyszło z pawilonu. Był



Tymczasem praca stawała się coraz cięższa.

to pan Formerie, pan Weber, pisarz i dwóch inspektorów. Genowefa weszła do pokoju, pan w monoklu zaś przywitał sądziego i zastępcę szefa policyi i zwolna oddalił się wraz z nimi.

Sernin zbliżył się do ławki, na której siedział Piotr Leduc.

— Nie ruszaj się, Piotrze! to ja... — szepnął cicho.

— Pan!... pan!...

Po raz trzeci od owej okropnej nocy w Versailles młodzieniec spotkał się zSerninem, a każde takie spotkanie wzruszało go do głębi.

— Powiedz mi, kto to jest ten mężczyzna w monoklu?

— To baron Altenheim.

— Cóż to za jeden? Skąd się wziął?

— To przyjaciel pana Kesselbacha. Przyjechał z Autryi kilka dni temu i przyszedł ofiarować usługi swoje pani Kesselbach.

Tymczasem urzędnicy i baron Altenheim wyszli z ogrodu. Słychać było odjazd automobilów.

— Czy on cię wypytywał? — ciągnął książę dalej.

— Drobiazgowo nawet. Interesuje się moim losem. Chciałby mi dopomódz do odszukania rodziny. Pyta mnie o moje wspomnienia z dzieciństwa.

— A cóż ty mu odpowiadasz?

— Nic, ponieważ nic nie wiem. Czyż to ja mam jakie wspomnienia? Pan mnie postawiłeś w miejscu innego, a ja nawet nie wiem, kim ten inny jest!

— Ani ja nie wiem! — zaśmiał się książę cynicznie — i w tem jest cała oryginalność...

— Ach, pan się śmieje!... pan się zawsze śmieje!... Ale mnie już zaczyna być dosyć wszystkiego... Zamieszany jestem w moc nieczystych spraw... już nawet nie mówiąc o niebezpieczeństwie mej roli.

W tej samej chwili na progu ukazała się Genowefa, pełna wdzięku, uśmiechnięta.

— Pan tu! — zwróciła się do księcia — a więc pan wrócił? O jakże się cieszę, że pana widzę! A przytem mam rzeczy ważne, bardzo ważne... Panie Piotrze, niechżeż pan pójdzie dotrzymać towarzystwa pani Kesselbach, my zaraz także przyjdziemy!

— Widział go pan? — szepnęła żywo, zbliżając się do Sernina.

— Kogo, proszę pani?

— Barona Altenheima... on się tak nie nazywa... a przynajmniej ma on jeszcze inne imię... Poznałam go... ale on się tego nie domyśla...

— Uspokój się pani...

— To ten sam, który mnie chciał wykraść... Gdyby nie ten biedny Lenormand, byłabym zgubiona... Ależ pan musi wiedzieć, pan przecież wszystko wie...

— Więc jakież jest jego prawdziwe nazwisko?

— Ribeira. Chociaż zmienił twarz, akcent, maniery, poznałam go odrazu, ostrzegł mnie wstręt, jaki mam do niego. Ale nie zdradziłam się. Czekałam, aż pan powróci.

— Nawet pani Kesselbach nie powiedziała pani?

— Nie. Ona taka uradowana, odnajdując przyjaciela męża. Ale pan jej o tem powie, nieprawdaż? Pan ja obroni? Ja nie wiem, co ten człowiek gotuje przeciwko niej i przeciw mnie... Teraz, gdy niema pana Lenormand, nie boi się już nikogo. Rządzi się, jak pan... Któżby go mógł zdemaskować?

— Ja, panno Genowefo. Już ja za to odpowiadam. Ale ani słowa o tem do nikogo...

Wchodząc do pokoju pani Kesselbach, książę przeraził się. Dolores jeszcze bledszą była, jeszcze szczuplejszą niż za ostatniem widzeniem. Leżąc na kanapie, otulona w jakąś białą draperyę, wyglądała jak ci chorzy, którzy już porzucają daremną walkę. Ona już walczyć przestała z życiem, z tym losem, który ją ciosami nawiedził...

Sernin przyglądał się jej z litością głęboką i z nieukrywanem wzruszeniem. Podziękowała mu za współczucie.

Wspomniała przyjaźnie o baronie Altenheimie. Głos jej był złamany, ruchy zdradzały znużenie. Czuło się, że niegodziwość i zgon Gertrudy przybiły ją ostatecznie. Zresztą przyjdzie jej wkrótce opuścić Zacisze, gdzie już trudno było pozostawać tu dłużej po tylu przykrych przejściach...

— A więc pani zna barona Altenheima? — zapytał Sernin po krótkiem wahaniu.

— Znam go przez mojego męża, z którym niegdyś w bliskich był stosunkach.

— Poznałem Altenheima, który mieszka, zdaje mi się, przy ulicy Rivoli... Czyby to mógł być ten sam?

— O nie, ten mieszka... Co prawda nie wiem, gdzie; dał mi swój adres, ale zapomniałam...

Sernin zadrżał i spuścił głowę. O trzy kroki od niego, pod stołem, leżał pasek żółtego papieru, przedarta opaska z dziennika, a że miał zwyczaj przyglądać się bacznie wszystkiemu dokoła, oczy jego uczepiły się wyrazu, wydrukowanego na tej opasce, wyrazu „Willa“.

Były za tem dalsze słowa, których nie mógł dojrzeć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwie katastrofy żywiołowe w Kołomyi.

Pierwsze dni sierpnia b. r. zapiszą się na długo a bardzo smutno w pamięci mieszkańców miasta Kołomyi. Nawiedziły bowiem to miasto w przeciągu dwu dni, dwie wielkie katastrofy żywiołowe, wyrządzając ogromne szkody na wielkiej przestrzeni i rujnując mienie ubogiej przeważnie ludności.

Naprzód przeszła nad Kołomyją potężna burza, połączona z oberwaniem się chmury. Stało się to dnia 4 sierpnia wieczór. Orkan szalał tak straszliwy, że nawet wielkie i bardzo stare drzewa nie mogły mu się oprzeć i padały obalone na ziemię; w bardzo wielu domach pozrywała wichura dachy i porozrzucała ich odłamy na przestrzeni kilkunastu nieraz metrów. Zwłaszcza w stronie ul. Franciszka Józefa, gdzie najbardziej szalała trąba powietrzna, szkody są bardzo wielkie. Ucierpiały domy, tam się wznoszące, kasarnie oraz budynek rady powiatowej. Z ludzi na szczęście nikt nie ucierpiał, natomiast wyginęło bardzo wiele ptactwa.

Jeszcze nie odetchnęła Kołomyja po tej katastrofie a już została nawiedzona przez drugą i to jeszcze straszniejszą, a tylko na mniejszej przestrzeni zamkniętą. Wybuchł tam mianowicie groźny pożar i w przeciągu kilku godzin obrócił w perzynę około 60 domów, w ulicy Szpitalnej i jej przecznicach położonych.

Katastrofa pożaru dotknęła najuboższą ludność, która mieszkała w niskich a gęsto obok siebie pobudowanych i bardzo gęsto zamieszkanych domkach. Zaledwie kilka z nich było ubezpieczonych. To też nędza wśród pogorzelców straszna, brak im nietylko dachu nad głową, ale i chleba na pożywienie.

O przyczynie pożaru na razie nic bliższego nie wiadomo, wyjaśni to zapewne toczące się śledztwo.

Niezwykły epizod zaszedł w czasie szalonej burzy w okolicy Kołomyi. Mianowicie na starym, zamkniętym już cmentarzu żydowskim obalił orkan stare drzewo z tak olbrzymią siłą, że upadając zniszczyło dwa groby a z jednego z nich wydobyło swoimi korzeniami zwłoki ludzkie razem z nagrobkiem, podnosząc je na wysokość 4 metrów.

Następnego dnia rano grabarz zastał ku swemu przerażeniu próżną jamę zamiast grobowca a na korzeniach obalonego starego drzewa, ujrzał wiszącego kościotrupa. Kamień nagrobkowy leżał w pewnej odległości na gałęziach.

Zbadano następnie, że były to kości nieboszczyka, zmarłego przed 80 laty, a pochowanego zgodnie z przepisami rytuału bez trumny. Potem w obecności członków rady wyznaniowej zdjęto resztki zmarłego z drzewa i złożono w nowym grobie.

Łatwo zrozumieć, jak wielkie wrażenie wywarł ten wypadek wśród mas zabobonnego żydowstwa w Kołomyi i okolicy. A kiedy w dwa dni później pożar zniszczył część miasta, zamieszkaną przeważnie przez ludność żydowską, ogólnie uważano, iż pożar ten jest następstwem wypadku na cmentarzu.



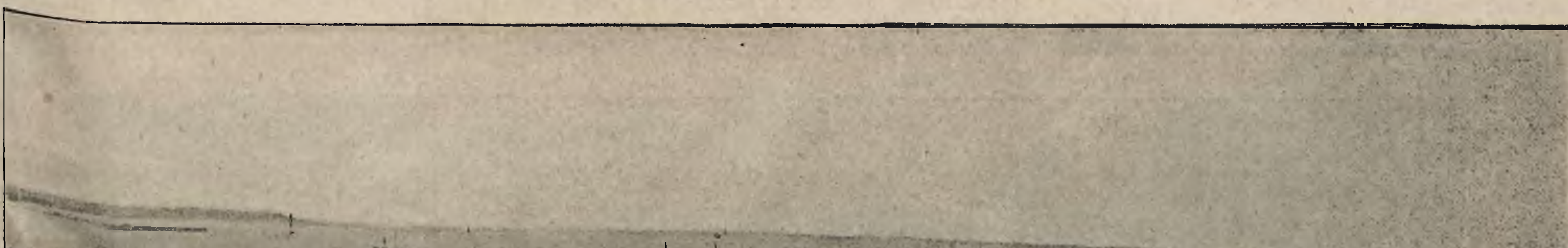


Dwie katastrofy żywiołowe w Kołomyi: Ogólny widok ulic w Kołomyi, dotkniętych pożarem.

Epidemia w Odessie.

Jednem z najpiękniejszych miast południowej Rosyi jest Odessa, port handlowy pierwszorzędnego znaczenia. Tu koncentruje się handel rosyjski, a setki okrętów przybywają z najrozmaitszych części świata. Wpływa to bardzo dodatnio na dobrobyt ludności, z drugiej jednak strony naraża ją nieustannie na zawleczenie zarazy t. j. cholery i dżumy, która na Wschodzie nigdy nie wygasa.

I obecnie powtórzyło się to samo, co ma miejsce prawie co roku o tym czasie: w Odessie pa-



Epidemia w Odessie: Widok ogólny na port w Odessie.

nuje cholera i dżuma. Co do cholery, to nie okazywała początkowo zbyt wielkiego nasilenia, zresztą się do niej prawie przyzwyczajono, panikę natomiast wywołało szerzenie się dość gwałtownie dżumy. Zarząd miasta i komisya sanitarna, ze względu na zastraszające mnożenie się wypadków zasłabnięcia, przedsięwzięły energiczne kroki, aby położyć kres szerzeniu się zarazy, między innemi zwiększono ilość baraków epidemicznych i izolacyjnych i zobowiązano piekarzy, restauratorów, masarzy i fabrykantów do urządzenia nieprzepuszczalnych podłóg. Zarządzenie to jest wskazanem ze względu na to, że dżuma rozszerza się głównie przez szczury, których w żadnem większem mieście nie brakuje, w tym też celu zarząd kolejowy urządził na rozmaitych punktach stacye łapaczy szczurów, co niejednokrotnie już dało bardzo dodatnie rezultaty przy powstrzymywaniu szerzenia się zarazy. Personal lekarski powiększono w odpowiedni sposób i wdrożono starania o zapomogę rządową w kwocie siedmdziesięciu pięciu tysięcy rubli na walkę z tymi obu nieprzyjaciołmi ludzkimi. Nadto postanowiono zakupić tysiące flaszeczek surowicy ochronnej i przedsięwziąć bezpłatne szczepienia.

W ostatnich telegramach czytamy, iż w ubiegłym tygodniu zwiększyło się także nasilenie cholery, a co najważniejsze, że skonstatowano ją także pomiędzy wojskiem, stacyonowanem w odeskim okręgu.

Na czas trwania zarazy ustanowiono stałą służbę sanitarną na dworcu osobowym odeskim, gdzie przybywający i odjeżdżający poddawani są oględzinom lekarskim.

Zupełnie analogiczne zarządzenia poczyniono i na austryacko-rosyjskiej granicy, nasze bowiem władze obawiają się zawleczenia cholery do Galicyi. Podróżni, przejeżdżający granicę, podlegają badaniu lekarskiemu, a ich rzeczy desinfekcyi, poczem przez pewien okres czasu pozostają pod lekarską obserwacyą w miejscu swego pobytu.





Dwie katastrofy żywiołowe w Kołomyi: Ruiny zniszczonych przez pożar domów.

Wśród egzotycznych książąt.

Jedną z największych wysp Zundzkich jest wyspa Jawa, sąsiadująca z Sumatrą, a zamieszkana przez ludność pochodzenia malajskiego, o skórze żółtawej, a czarnych oczach i włosach. Ludność to przeważnie łagodna, rozsądna i roztropna, z drugiej jednak strony mściwa i zabobonna. Wyznaje religię mahometańską.

Wyspa Jawa była znana już za czasów starożytnych, miała też dość wysoką cywilizacyę, przeniesioną tam z Indyj wraz z religią Brahmy. Do dziś pozostały tam z owych czasów szczątki świątyń, wizerunków bogów i pomników grobowych. W VI. w. po Chrystusie nawiedzili Jawę Arabowie i wprowadzili tam Islam, który około XV. w. stał się religią panującą. Europejczycy dostali się po raz pierwszy na Jawę w XVI. w., a to Portugalczycy, a później Niderlandczycy. Od tego czasu wyspa ta należała — z krótką przerwą — do Holandyi, jako część składowa Indyj holenderskich. Pod względem administracyjnym podzielona jest Jawa na 23 rezydentur, rządzonych przez urzędników holenderskich. Dwie z nich mają ponadto własnych książąt panujących. Są to potomkowie dawnych książąt jawańskich, ogromnie bogaci; rząd holenderski, celem zjednania ich sobie, przyznał im rozmaite honorowe godności i tytuły, faktyczną jednak władzę ograniczył do minimum.

Jednego z tych książąt jawańskich, susuhunana Teana, odwiedził niedawno w jego rezydencyi książę Jan Albrecht meklemburski, z żoną Elżbietą, brat księcia Henryka holenderskiego, męża królowej Wilhelminy. Książę Jan Albrecht jest już mężczyzną starszym, zamiłowanym podróżnikiem i badaczem, honorowym doktorem czteru fakultetów na



Wśród egzotycznych książąt: Książę Jan Albrecht z małżonką na dworze susuhunana Teana na Jawie.

jednym z uniwersytetów. Oddany w zupełności sprawom nauki i podróżom, do polityki się nie mieszał zupełnie.

Gości swych z Europy podejmował susuhunan Tean bardzo serdecznie, okazując im na każdym kroku serdeczną gościnność. Na pamiątkę wspólnie spędzonych chwil odfotografowali się książę Jan Albrecht i susuhunan Tean ze swemi małżonkami, w otoczeniu miejscowych dygnitarzy.

Obchód grunwaldzki w Grybowie.

Śladem innych miast prowincyonalnych poszedł i Grybów, urządzając niedawno uroczysty obchód na cześć rocznicy grunwaldzkiej. Dzięki pięknej pogodzie obchód wypadł prawdziwie imponująco a blasku dodał mu tłumny udział ludności wiejskiej z całej okolicy.

W dniu obchodu udekorowano całe miasto bardzo pięknie zielenią i chorągwiami o barwach narodowych. Rano zbudziły mieszkańców miasta dźwięki [illegible] narodowych, granych przez orkiestrę miej[illegible] [illegible]czem około godziny 7 poczęto się groma[illegible] [illegible] gmachem „Sokoła", skąd następnie wy[illegible] [illegible]romny pochód. Uwagę ogólną zwróciła na [illegible]erya konna, złożona z około 200 włościan polskich z okolicy oraz oddział 40 kosynierów. Do uświetnienia pochodu przyczyniła się drużyna sokola z Nowego Sącza oraz straż ogniowa włościańska z Polnej. Podczas pochodu przygrywała orkiestra włościańska z Siedlec. Pochód udał się przez ulice miasteczka na miejsce, gdzie miała się odbyć msza polowa. Odprawił ją ks. Tarsiński, a kazanie wygłosił ks. Solak.



Obchód grunwaldzki w Grybowie: Banderya włościańska w uroczystym pochodzie.

Po nabożeństwie ruszył pochód w tym samym porządku ku ulicy, dotychczas zwanej Kolejową, a którą na pamiątkę rocznicy grunwaldzkiej nazwano ulicą Grunwaldzką. Tam przemówił w serdecznych słowach burmistrz miasta, poczem pochód się rozwiązał.

Po południu odbył się w ogrodzie miejskim festyn ludowy, o bardzo urozmaiconym programie, wieczór zaś odegrała trupa amatorska miejscowego teatru sztukę ludową „Ojcowizna".

Liczni uczestnicy obchodu w Grybowie odnieśli szereg miłych i prawdziwie podniosłych wrażeń.

Uzupełniając krótki opis pięknej uroczystości grunwaldzkiej w Grybowie, zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcie fotograficzne, przedstawiające konną banderyę włościańską.

Nowa ofiara awiatyki.

Lista ofiar rozwijającej się pięknie i szybko awiatyki rośnie w przerażającej szybkości. Każdy tydzień niemal przynosi wiadomość o nowym wypadku, o nowej ofierze, którą śmierć porywa z grona pionierów walki o zdobycie powietrza.

Ostatnią ofiarą jest słynny awiator Mikołaj Kinet, a śmierć jego tragiczna wywarła tem większe i tem głębsze wrażenie, że młody ten a dzielny pilot wysunął się w ostatnich czasach na czoło młodszej generacyi awiatorów. Był to pilot bardzo szybko się orjentujący, ogromnie przytomny, a przytem niezwykle odważny. Do niedawna należał do najlepszych motocyklistów i dopiero przed paru miesiącami poświęcił się awiatyce, odbywszy kurs u Farmana w Mourmelons. W krótkim czasie swej karyery zdołał osiągnąć rezultaty bardzo piękne, w szczególności lot jego w maju, wykonany w Chalons z pasażerem, stanowi rekord światowy, gdyż trwał dwie godziny 51 minut.

Kinet brał obecnie udział w meetingu brukselskim i zdobył już w mniejszych nagrodach około 40.000 fr. Nie zaprzestał jednak wzlotów, gdyż



Tragedya w Tatrach: Zaginiony przewodnik Klimek Bachleda.



Dwie katastrofy żywiołowe w Kołomyi: Zgliszcza spalonych domów.



Nowa ofiara awiatyki: Mikołaj Kinet, który zabił się wskutek upadku aeroplanu.

miał szanse zdobycia wielkiej nagrody. Startując jednak w locie konkursowym o nagrodę imienia króla belgijskiego, uległ tragicznemu wypadkowi.

Kinet wzniósł się mianowicie na wysokość jakichś 200 metrów, poczem skierował się ku miejscowości Wesenbeck. Lot zapowiadał się zupełnie szczęśliwie. Nagle silny podmuch wiatru przechylił gwałtownie jego aeroplan, wskutek czego Kinet runął wraz z swą maszyną do latania na ziemię z ogromnej wysokości.

Trzechsetletni jubileusz Bonifratrów w Krakowie.

Trzysta lat mija od chwili, gdy członkowie zakonu Jana Bożego przybyli do Polski. Przybycie ich wiąże się z słabością króla Zygmunta III., który, ciężko zapadłszy na zdrowiu, nie mógł nigdzie znaleść porady ni pomocy. Dopiero na dworze cesarskim w Wiedniu znaleziono upragnionego lekarza, a był nim członek zakonu Jana Bożego, czyli Bonifratrów, brat Gabryel, hrabia Ferrara.

tala na dwanaście łóżek, uzyskawszy na to w r. 1610 pozwolenie władzy duchownej.

Z czasem powstała w Polsce nowa prowincya Braci miłosierdzia, najliczniejsza w całym zakonie. Dzięki hojności panów polskich i litewskich wznoszono coraz to nowe szpitale, w których uboga ludność znajdowała bezpłatną opiekę i pomoc w cierpieniu. Z pomiędzy polskich członków zakonu było kilku prowincyałów i jenerałów.

Z czasem jednak zapomniano o Bonifratrach.





Dwie katastrofy żywiołowe w Kołomyi: Ślady orkanu i burzy w Kołomyi.

Pierwszym, który przybył na miejsce wypadku, był młodszy brat Kineta, a zarazem jego pomocnik. Znalazł on brata pod gruzami strzaskanego aeroplanu, z pękniętą czaszką i złamanym kręgosłupem. Śmierć nastąpiła natychmiast. Świadkiem wypadku była też żona awiatora, która znajdowała się na miejscu, przeznaczonem dla widzów. W pierwszej chwili, choć widziała upadek aeroplanu męża, nie zoawała sobie sprawy z ogromu nieszczęścia i sądziła, że skończyło się na uszkodzeniu maszyny. Dopiero później zawiadomiono ją o tragicznym zgonie męża.

Zjechał on pospiesznie do Krakowa, umiejętnie rozeznał rodzaj „febry“ królewskiej i zastosował środki zaradcze. Król niebawem czuł się tak dobrze, że na czele wyprawy wojennej ruszył pod Smoleńsk. Krakowianie poczęli się naradzać, w jaki sposób wynagrodzić Bonifratrom ich zasługę. Waleryan Wilczogórski, herbu Montelupa, uzyskał zgodną uchwałę współobywateli, aby w Krakowie założyć konwent Bonifratrów i szpital. Przeznaczył na to swój dom przy ulicy św. Jana i doręczył zakonowi urzędowy akt darowizny, podpisany dnia 31 grudnia 1609 r. Mieszczanie hojną ręką dopomagali w zbożnem dziele i Bonifratrzy dokupili sąsiedni dom i zabrali się do budowy kościoła i szpi-

Z pomiędzy kilkunastu zakonów w Polsce, pozostał tylko konwent krakowski, przeniesiony ze swej pierwotnej siedziby przy ul. św. Jana, do obszerniejszego budynku z rozległym ogrodem po Trynitarzach nad Wisłą i w Zebrzydowicach. Ciężkie czasy przechodził zakon przez lat wiele, noszono się nawet z myślą zwinięcia go; dzięki Bogu nie przyszło do tego. W roku 1892 liczył ich szpital sześćdziesiąt łóżek, a w r. 1897 położono kamień węgielny pod budowę szpitala jubileuszowego, którą dzięki niestrudzonym zabiegom ks. Letusa Bernatka doprowadzono szczęśliwie do końca.



Trzechsetletni jubileusz Bonifratrów w Krakowie: Wnętrze głównej sali szpitalnej w nowym gmachu.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

10

Drżąc rozpętaną wściekłością stanęła na wprost Sir Cyryla, a on spokojny, odważny, opanowany, podniósł sztylet w ręku ku obronie przed tą rozjuszoną lwicą. Podnosząc jednak broń, rzucił na nią okiem; i teraz dopiero zobaczył, co trzyma w ręku... I nagle opuściła go pewność siebie. Pobladł — ręka zadrżała mu i opadła... W tej samej chwili szalona niewiasta wyrwała mu sztylet i błyskawicznym ruchem zatopiła mu go w piersi... Sir Cyryl zachwiał się i upadł. Rękojeść sztyletu, tkwiącego w ranie, błysnęła klejnotami...

Czyn ten dokonany został w mgnieniu oka, zanim nawet poruszyć się zdążyłem. Teraz ja skoczyłem naprzód. Deschamps z dzikim śmiechem rzuciła się na mnie. Zwarliśmy się. Drapała i gryzła — a silna to była kobieta. Zrazu obawiałem się, że szałem podniecona, gotowa mnie przemódz... Ostatecznie jednak zdołałem ją opanować; ustąpić jednak nie chciała i wciąż, zapamiętała, broniła się zawzięcie. Nie mogąc przebierać w środkach, ogłuszyłem ją kilku silnymi uderzeniami i nareszcie udało mi się, związać jej chustką ręce. I wtedy dopiero, dysząc, rozejrzałem się do polu bitwy.

Sir Cyryl leżał bez przytomności, a krew powoli sączyła brzegiem sztyletu. Deschamps leżała bezprzytomna, z ciemnym sińcem na czole. I Roza leżała bezprzytomna dotąd, pod wpływem nadmiaru wzruszenia i strachu.

Patrzyłem na trzy leżące postaci, zadumany nad dziełem losu i moich rąk. Co teraz uczynić należało? Śmiertelna cisza panowała dokoła, własny dyszący oddech słyszałem jedynie. Światło pustego pokoju w górze lało się przez otwór w suficie, żółtym blaskiem oświecając leżące postacie i nieme ich twarze. Czy była w domu jaka żywa dusza? Sądząc po tem, co mówił Sir Cyryl, zapewne nikogo... Deschamps musiała oddalić na tę chwilę całą swoją służbę. Ona i Roza same jedne tylko musiały być w domu. I teraz rozumiem, że dla chorobliwej wyobraźni Deschamps musiało być coś dziwnie pociągającego w samym tym fakcie, że ofiarę swoją znęciła w tę zasadzkę i że miała wywrzeć zemstę swą na rywalce sama osobiście, nie widziana, samotna, w pustym tym, milczącym domu... W dziwnym byłem stanie ducha i w dziwnej ducha rozterce. Rozumiałem, że powinienem był odczuwać ponury smutek, a jednak smucić się nie mogłem. W najtajniejszej głębi ducha czułem się szczęśliwy, bo przecież Roza była ocalona...

Roza pierwsza odzyskała przytomność. Widząc, że podnosi się i siada, przypomniałem sobie, co uczynić powinienem. Pobiegłem do Sir Cyryla, uklękłem tak, by ciało jego ukryć przed jej wzrokiem i wyciągnąwszy sztylet z rany, usiłowałem czem mogłem na razie ranę tę opatrzyć i krew zatamować.

— Co się stało? — słabym głosem zapytała Roza.

Nie odwracając się wcale ku niej, odpowiedziałem powoli, głosem jak najnaturalniejszem.

— Niech pani uważnie posłucha, co pani powiem. Osnuto intrygę — na krzywdę pani. Ale nic się pani złego nie stało. Pani jest zdrowa zupełnie, tak, nie inaczej! Jest tutaj Sir Cyryl Smart... Jego raniono... To Deschamps go zraniła. Deschamps jest chwilowo nieszkodliwa, ale może się zbudzić i na nowo wybuchnąć. Dlatego to ja odejść stąd nie mogę i nie mogę iść szukać pomocy. Pani musi pójść. Pani zemdlała, ale ja jestem pewien, że pani bardzo dobrze pójść może. Niech pani wejdzie po tych schodach i obejdzie sień, aż dojdzie pani do drzwi frontowych; te drzwi nie są zamknięte. Niech pani wyjdzie na ulicę i sprowadzi dwóch żandarmów — dwóch, niech pani pamięta — i jeśli można, dorożkę. Rozumie mnie pani?

— Tak, ale jakim sposobem.

— Proszę, niech pani zaraz idzie — nalegałem surowo i chłodno. — Później rozmawiać będziemy. Teraz niech pani zrobi to, co mówię!

Onieśmielona surowością mego tonu, wstała i poszła. Słyszałem, jak lekkie jej, zalęknione kroki minęły sień i opuszczały dom.

W kilku minutach zrobiłem wszystko, co na razie dla Sir Cyryla zrobić było można. Rana była głęboka, choć sztylecik był mały i częściowo tylko udało mi się zatamować obfity upływ krwi. Powątpiewałem, czy uda się go ocalić. Niebawem wszakże powrócił do przytomności i zaczął mówić:

— Panie Foster — szepnął — tak się pan nazywa, nieprawdaż? Gdzie pan znalazł ten sztylecik?

— Niech się pan jak najspokojniej zachowuje! — prosiłem. — Posłałem po pomoc.

— Nie bądź pan niedorzecznym, mój drogi panie. Pan wie, że ze mnie nic już nie będzie... Niech mi pan powie, skąd pan wziął ten sztylet?

Więc też powiedziałem mu prawdę.

— Ach! — szepnął. — Takie moje szczęście. — I westchnął.

Potem w krótkich, urywanych zdaniach, odpoczywając często, opowiedział mi, co się stało owej nocy, już po tem, gdy Roza i ja opuściliśmy go po przyjęciu u kuzyna mego Sullivana. Niejedno z tego co mówił, było niezrozumiałem dla mnie; niektóry wyrazów dosłyszeć nie mogłem. Ale zdaje się, że on pojechał za nami powozem, że jakimś sposobem spotkał się jeszcze z Rozą i że w końcu, w szale wyrzutów sumienia i żalu, usiłował na ulicy odebrać sobie życie. I to tym właśnie sztylecikiem... Jakoś nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Stangret jego i lokaj odwieźli go do domu i sprawę całą zatajono. Co było powodem tych wyrzutów sumienia? Gorąca ciekawość nasuwała mi na usta dziesiątki pytań, ale lękając się rozdrażnić go, milczałem.

— Kochasz ją pan? — zapytał.

Skinąłem głową. Odpowiedź równie nagłą była, jak zapytanie.

W tej samej chwili Deschamps za memi plecami cicho się roześmiała. Odwróciłem się szybko, lecz nie poruszyła się... Choć odzyskała przytomność, ogień w oczach jej zagasł i nie przewidywałem na razie nowych z nią trudności.

— Ja już owego wieczora wiedziałem, że pan ją kocha — ciągnął Sir Cyryl dalej. — Czy ona panu powiedziała o mnie?

— Nic mi nie mówiła — rzekłem.

— Ja jej krzywdę wyrządziłem, panie Foster — jej i komuś jeszcze. Ale ona to panu sama opowie... Ja teraz mówić nie mogę... Umieram... Niech jej pan powie, że zginąłem, starając się ją osłonić; niech jej pan powie... niech jej pan...

I znowu stracił świadomość.

Rozległy się w sieni pewne, szybkie kroki i za chwilę przedstawiciele władzy zagarnęli dom w swoją opiekę. Roza weszła za nimi. Smutno popatrzyła na Sir Cyryla, a potem padła obok niego na kolana i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Rozdział XVI.

Następnego wieczora siedziałem znowu w salonie, w mieszkaniu Rozy. Kazała przenieść do siebie Sir Cyryla. Umierającym był. Ja ze swej strony zrobiłem, co mogłem, ale stan był beznadziejny; wobec usilnych jednak nalegań Rozy, zostawiłem ją nakoniec samą przy jego łóżku. Nie potrzebuję opowiadać ze szczegółami wszystkiego, co zaszło od chwili tragicznego wypadku w willi podmiejskiej. Pamiętają jeszcze ludzie, jakie wrażenie zrobiło sądowe śledztwo — śledztwo, którego rezultatem było zamknięciem Deschamps w domu obłąkanych. O ile mi wiadomo, biedna kobieta, niegdyś jedna z pierwszorzędnych osobistości wesołego teatralnego świata Paryża, po dziś dzień trawi się tam jałową nienawiścią.

Roza za nic nie chciała wspominać ani zeznawać o rozmowie swojej z Deschamps; zdawało się, że wspomnienia tych chwil zamknęła w najtajniejszym zakątku duszy i że nic nie mogło odemknąć tej kryjówki. Jednakże wątpić nie można, że Deschamps godziła na jej życie i że byłaby dopięła swego, gdyby nie cudowne w samą porę zjawienie się Sir Cyryla. Ponieważ drzwi pokoju były zamknięte, ja, nieznający, tak jak Sir Cyryl, właściwości domu, byłbym był musiał znieść mękę patrzenia na straszliwą zbrodnię, nie mogąc przyjść w pomoc ofierze. Do dzisiejszego dnia myśleć o tem nie mogę spokojnie...

Cudowne zjawienie się Sir Cyryla w willi, nie okazało się, gdy poznałem wszystkie fakty, tak nadzwyczajnem, jak mi się zrazu wydało. Chociaż ani Roza ani ja o tem nie wiedzieliśmy, operowe koła rozbrzmiewały gadaniem o gniewie Deschamps i o tej zazdrości, z którą się wcale nie taiła. Paru artystów z „Opéra Comique“ postanowiło wmieszać się w to i przestrzedz Rozę, gdy właśnie przybył Sir Cyryl, wracający wtedy z wód niemieckich do Londynu.

Cały Paryż znał Sir Cyryla i Sir Cyryl znał cały Paryż; opowiedziano mu wprost, jak rzeczy stoją i pozostawiono sprawę w jego rękach. Człowiek ten oryginalny, energiczny i odważny, udał się prosto ku rue Thiers, ostrzedz Rozę, która wyszła najprawdopodobniej od samej Deschamps, że Roza ma tam być zwabioną. Reszta już była rezultatem szczęśliwego trafu.

Tajemniczego związku pomiędzy osobą Rozy a Sir Cyryla, na razie nie rozumiałem; nie miałem też wiele sposobności do rozmowy z Rozą. Nie widzieliśmy się dotąd wcale w cztery oczy, a i tak nie wiedziałem, czy zechce wyjaśnić mi tę sprawę. Prawa zaś prosić ją o to nie miałem. A zresztą o wiele bardziej obchodziło mnie co innego, rzecz dla mnie o wiele ważniejsza — odgadnięcie mianowicie, czy żyje lord Clarenceux i co znaczy ta jego śmierć udana?...

Posępnie rozmyślałem nad zawiłością wypadków, gdy otworzyły się drzwi salonu i weszła Roza. Sztywnym krokiem podeszła do krzesła i siadłszy naprzeciwko mnie, spojrzała mi w twarz suchemi, błyszczącemi oczyma. Przez chwil kilka nie przemówiła ani słowa, ja zaś nie mogłem się przemódz i przerwać milczenia. Nareszcie dojrzałem łzy, napływające jej do oczu i poczułem w sercu ulgę. Uległa tak strasznym wzruszeniom, a przecież zdawało się, że kobiety o jej wrażliwości po mniej nawet ciężkich przejściach zapadały na zapalenie mózgu...

— Dla czego mnie pan nie porzuci, panie Foster? — zawołała z uniesieniem i łzy zabrzmiały w jej głosie. — Dla czego mnie pan nie opuszcza, ale to tak, by mnie już nigdy, nigdy nie zobaczyć?

— Opuścić panią? — powtórzyłem z cicha. — Dlaczegobym miał...

— Ponieważ jestem przeklęta! Klątwa wisi nad mem życiem i klątwa czepia się tych, którzy się zbliżą do mnie — i klątwa na nich spada!

Uderzyła w płacz nerwowy; głowa jej pochyliła się i aż prawie dotknęła kolan. Przysunąłem się, podniosłem ją łagodnie i podsunąłem jej poduszkę pod plecy. Uspokoiła się trochę.

— Jeżeli pani jest przeklęta, to niech i ja będę przeklęty! — rzekłem, patrząc jej prosto w oczy.

I usiadłem. Łkanie zwolna ustawało. Otarła oczy.

— Umarł — oświadczyła krótko.

Nie odpowiedziałem. Cóż miałem odpowiedzieć?

— Nic mi pan nie powie? — szepnęła.

— Bardzo mi żal. Sir Cyryl był to dzielny człowiek!

— On był ojcem moim — rzekła.

— Ojcem pani! — powtórzyłem. To wyznanie zadziwiło i poruszyło mnie do głębi.

— Tak jest! — powtórzyła z naciskiem.

Zamilkliśmy oboje.

— A ja myślałem, że rodzice pani nie żyją — odezwałem się wreszcie niezgrabnie.

— Do niedawna i ja tak sądziłam. Niech pan posłucha. Opowiem panu dzieje mojego życia. Aż do tej chwili nie umiałam różnych rzeczy powiązać i wypełnić niektórych niezrozumiałych braków... Teraz dopiero...

I opowiedziała mi, co następuje:

— Ojciec mój podróżował po Europie. Miał pieniądze i naturalnie miewał różne miłosne przygody. Jedną z takich przygód był związek z moją matką. Matka moja mieszkała w okolicy, gdzie się uprawia wino, koło Avignon, w południowej Francyi; stryj jej był właścicielem małej winnicy. Matka moja była prostą wieśniaczką, ale była niezwykle piękną. Ja nie przesadzam, prześliczną była. I była jedną z tych kobiet, które tak łatwo wierzą... a ojciec mój się w niej zakochał. Wziął z nią ślub zupełnie legalnie w Avignon. Podróżowali razem po Francyi i po Włoszech, a wreszcie pojechali do Belgii. W niecały rok po ich ślubie ja się urodziłam. Matka oddała się mnie całkowicie. Nie była to inteligentna ani wykształcona kobieta, nie miała talentu towarzyskich ani towarzyskich ambicyi. Nie! stanowczo, nie miała wielkiego rozumu; ale za to miała serce — gorące serce, którem tak ciepło obejmowała mnie i mego ojca!

Po trzech latach mój ojciec sprzykrzył sobie żonę. Zaczął się niepokoić i nudzić. Miał wielkie ambicye. Zapragnął błyszczeć w Londynie, gdzie go znano i gdzie rodzina jego miała tradycye w teatralnym świecie. Czuł jednakże, że matka moja nie będzie mu odpowiednią towarzyszką na londyńskim bruku. Jakżeż tu wsławić się i błyszczeć w Londynie przy boku żony, prostej chłopki! Więc ją poprostu opuścił. Lecz nie było to zwykłe porzucenie. Ojciec mój, mając ogromny wpływ na matkę, nakłonił ją, by się na to rozstanie zgodziła. To też zgodziła się dobrowolnie. Okrutnie cierpiała nad tem, lecz gotowa zawsze do ofiar w miłości, nie zatrzymywała go. Więc też opuścił ją, wyznaczając jej roczną pensyę na utrzymanie.

Ja zaledwie, jak przez mgłę, przypominam sobie człowieka, który był moim ojcem. Miałam

trzy lata, gdy nas porzucił. Do tego czasu mieszkaliśmy w obszernym domu w staroświeckiem mieście. Czy też pan zgaduje, jaki to był dom? Naturalnie, że pan odgadł... Tak, to był ten sam dom w Bruges, w którym umarł Alreska... Opuściliśmy później ten dom, matka moja i ja i pojechałyśmy do Włoch. Później ojciec mój sprzedał ten dom Alresce. O tem dowiedziałam się dziś dopiero. To też może pan sobie wyobrazić, że moje wspomnienia z Bruges nie są bardzo dokładne.

Do umowy między moimi rodzicami należało, że matka zmieni nazwisko. To też w Pizie znaną była tylko pod nazwiskiem Madame Montigny. I ja to jedno tylko jej nazwisko znałam.

W miarę, jak rosłam w lata, matka moja opowiadała mi różne bajeczki dla upozorowania nieobecności ojca. Umarła, gdy miałam lat szesnaście, a przed śmiercią powiedziała mi prawdę. Prosiła, bym jej obiecała, że go odszukam i zapewniała mnie, iż będę z nim szczęśliwa. Ja jednak obiecać jej tego nie chciałam. Miałam lat szesnaście i byłam bardzo dumna. To, co mi matka o ojcu opowiedziała, wzbudziło w mojem sercu wzgardę i odrazę. Nienawidziłam go. Matka nie powiedziała mi prawdziwego nazwiska ojca i ja jej o to nie spytałam, rada, że tego nie wiem. Złożywszy więc matkę do grobu, postanowiłam zniknąć. Ojciec może mnie szukać, pomyślałam, ale mnie nigdy nie znajdzie. Radością nawet napełniała mnie myśl, że on mnie będzie szukał i szukał i że nieszczęśliwy będzie, nie mogąc mnie odnaleść. To też opuściłam Pizę, zabierając ze sobą tych kilkaset franków jedynie, które były osobistą własnością mej matki i ten sztylecik — dar mego ojca — który ona zawsze nosiła we włosach.

Wiedziałam o tem, że mam głos. Wszyscy mi to mówili, a matka moja dbała o to, bym go sobie dobrą nauką należycie wykształciła. Wiedziałam, że jako śpiewaczka, mogę wyrobić sobie imię niepoślednie. — Przybrałam więc pseudonim sceniczny Rozetty Rozy i zabrałam się do pracy. Inni na tem polu cięższe przechodzili koleje, niż ja. Wybiłam się prędko. Sir Cyryl Smart, wielki impressario angielski, słyszał mnie w Genui i zaangażował do Londynu. To stanowiło o moim losie. Zna pan dalszy przebieg mej karyery — wszyscy to wiedzą.

Dla czego odrazu nie odgadłam, że Sir Cyryl Smart to mój ojciec? Sama nie wiem. A nie odgadłszy odrazu, dlaczego później nie odgadłam tego? Podejrzenie zaczęło się we mnie budzić stopniowo i powoli. To mogę powiedzieć, że zawsze w stosunku do Sir Cyryla podlegałam dziwnemu uczuciu, nieprzyjaznemu w części, a jednak niezupełnie — uczuciu zawsze dla mnie niezrozumiałemu. A potem nagle, już bez cienia wątpliwości, dowiedziałam się, że Sir Cyryl jest moim ojcem... i on w tej samej chwili dowiedział się, że ja córką jego jestem. Pan był świadkiem owej chwili; pan widział nas w sieni londyńskiego hotelu po przyjęciu u państwa Sullivan... Patrzył wtedy na sztylecik w moich włosach takim wzrokiem, jak gdyby patrzył na jadowitą żmiję... ja to spostrzegłam i pewność, kim on jest, wstąpiła nagle w moją duszę. Nienawidziłam go wtedy więcej, niż kiedykolwiek...

Owej nocy, jak się zdaje, pogonił za nami powozem swoim aż do mieszkania Alreski. Czekał, gdym wychodziła. Mówił do mnie. Nie powiem panu, co mówił, ani tego, co odpowiedziałam. Jednakże krótka była moja odpowiedź i bardzo okrutna.

Gdy to mówiła, zadrżał jej głos.

— Wsiadłam do powozu. Mój Boże! jakaż ja byłam okrutna. Dziś on... ojciec mój, powiedział mi, że usiłował odebrać sobie życie sztylecikiem mojej matki wtedy, na tem samem miejscu, na bruku ulicznym... Popchnęłam go do samobójstwa...

Przerwała.

— Czy potępia mnie pan? — szepnęła.

— Nie potępiam pani — odrzekłem. Ale on nie żyje, a śmierć kończy wszystko...

— Ma pan słuszność — odrzekła. — Lecz on mnie kochał przy końcu życia. Ja to wiem. I ocalił mi życie — pan i on. Odpokutował — odpokutował za postępek swój względem mojej biednej matki. Umarł z pocałunkiem moim na ustach.

Teraz mnie łzy w oczach stanęły.

— Ach! — zawołała z głęboką boleścią — doprawdy może pan płakać nademną!

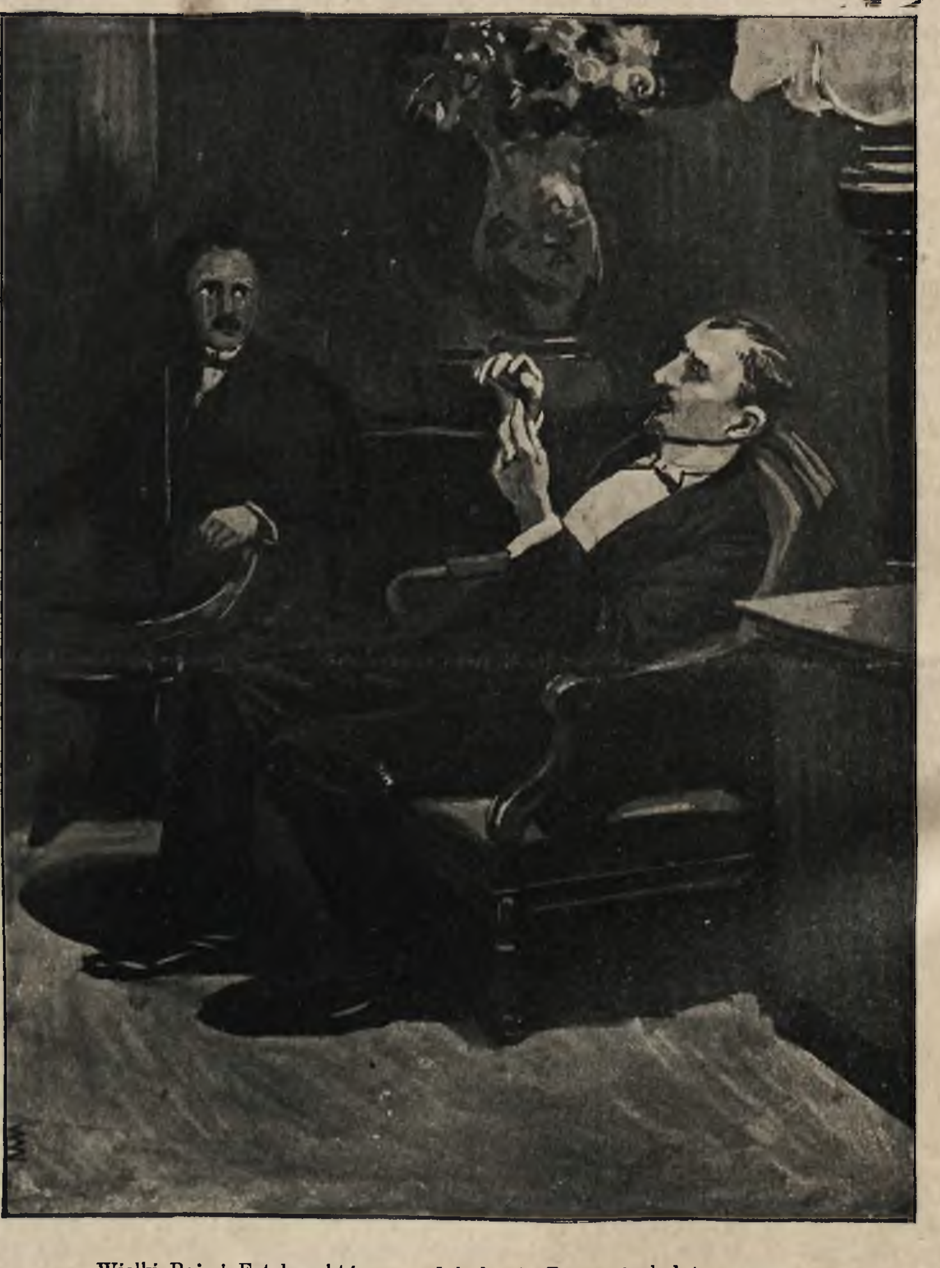
Nagle jednak roześmiała się dziwnie.

— I cóż, czy nie widzi pan jeszcze, że klątwa nademną ciąży? Czyż ja nie jestem przeklęta? Niech pan sam powie! niech pan sam powie!

— Ja tego pani nie powiem — odpowiedziałem. — Dlaczegóżby klątwa ciążyć miała nad panią? Co pani przez to rozumie?

— Nie wiem, co przez to rozumiem, ale wiem, co czuję. Spójrz pan wstecz na moje życie. Matka moja umarła, opuszczona. Ojciec umarł, zabity ręką szalonej. Mój drogi przyjaciel Alreska umarł — z jakiego powodu, niewiadomo. I Clarenceux — także umarł.

— Zaczekaj pani! — krzyknąłem prawie, zrywając się, a nagle moje wzburzenie zmieszało ją widocznie. — Skądżeż to pani wie, że umarł lord Clarenceux?



Wielki Boże! Fotel, z którego podniosła się Roza, nie był teraz pusty.

Stałem przed nią, drżąc cały lękiem, jakie wrażenie na nią odkrycie moje zrobi. Zdziwiona była widocznie i zalękniona, widząc nagłą we mnie zmianę, lecz opanowała się niebawem.

— Skąd ja to wiem? — powtórzyła dziwnie łagodnie.

— Tak, czy pani wie o tem napewno? Czy pani była przy jego śmierci?

Pohamowałem gwałtowną chęć obejrzenia się poza siebie na jego fotografię.

— Nie, mój przyjacielu. Przy śmierci jego nie byłam, ale widziałam go po śmierci. Umarł nagle, w Wiedniu. Ale nie mówmy o tem...

— Ach tak! — roześmiałem się z niedowierzaniem i nagle nieprzepartym pędem pchnięty, padłem przed nią na kolana i chwyciłem ręce jej kurczowym uściskiem.

— Rozo! Rozo! — głos mi się łamał — ty musisz wiedzieć, że ja ciebie kocham. Powiedz, że mnie kochasz, że kochałabyś mnie bez względu na to, czy Clarenceux żyje, czy też nie żyje!

Nieopisana tkliwość rozlała się na jej twarzy. Wyciągnęła rękę i chcąc mnie ukoić, pogłaskała moją głowę.

— Karolu! — szepnęła.

Dosyć mi na tem było. Powstałem. Nie ucałowałem jej jednak.

W tej chwili wszedł służący i oznajmił, że ktoś w pilnym interesie chce się widzieć z panią.

Przeprosiwszy mnie Roza wyszła.

Otworzywszy drzwi przed nią, zamknąłem je zwolna z westchnieniem głębokiej ulgi i wróciłem do pokoju. Rad byłem, że zostanę sam przez chwilę z myślami mojemi...

Wielki Boże! Fotel, z którego podniosła się Roza, nie był teraz pusty. Zajmowała go osoba — osoba mężczyzny, którego portret wisiał na ścianie — człowiek, który prześladował mnie od chwili, gdy poznałem Rozę — osoba lorda Clarenceux, którego Roza widziała umarłym...

— Nareszcie poznałem was, potęgi piekielne! — Tajemnicza zagadka stała mi się jasną... W błyskawicznem świetle zrozumienia stanął przedemną cały ogrom mojej niedoli.

Więc ten mężczyzna, którego widziałem, to nie był człowiek, lecz duch złośliwy i zazdrosny — duch, który z za ziemskiej potęgi używał ku zagładzie tych śmiertelnych... co odważyli się kochać kobietę, kochaną przezeń za życia.

Śmierć Alreski, niezrozumiałe zjawisko w katedrze, w pociągu, na parowcu — wszystko teraz zrozumiałem. I wobec tej zimno szyderskiej, tryumfującej twarzy, mającej pozory życia, a jednak nieuchwytnej, zadrżałem trwogą i męką winowajcy. I nie wiem, czy minęła minuta jedna, czy też wiek cały minął.

Wróciła Roza. W oka mgnieniu widziadło zniknęło. Ale po twarzy jej pobladłej, po posiniałych, drżących wargach poznałem, że i ona ujrzała.

Wistocie, przeklęta była i ja razem z nią!

Rozdział XVII.

Od chwili, gdy wyznałem miłość moją Rozie, zły duch zmarłego lorda Clarenceux, jak gdyby wziął mnie pod swe panowanie. Nie umiem tego dokładnie opisać; mogę tylko powiedzieć, że czułem, iż nagle władzę na demną objął jakiś tyran, gotów mnie karać, jeżeli trwać będę w tem, czego on nie chce.

Teraz poznałem, co to jest strach, strach najokropniejszy — strach przed tem, czego nie rozumiem.

Najwewnętrzniejszem jądrem mojej duszy rządził ten nieubłagany duch — duch, który słów nie używał, ale myśli swe i rozkazy jednem jedynem spojrzeniem, jednym jedynym szyderczym uśmiechem udzielał.

Dziwne to było, że ja nie tylko jasno odrazu wiedziałem, czego on żąda ode mnie, ale i dla czego tego żąda. Przygnieciony byłem, opanowany...

Jakim zaś sposobem on ten swój wpływ wywierał? Na to nie umiem odpowiedzieć. Wiem tylko, że odczuwałem jego złowieszczą władzę. Za życia Clarenceux, jak zgodnie wszyscy twierdzili, był stanowczego, arbitralnego charakteru człowiekiem — z tych był, którzy rozkazują. Indywidualność jego silniejszą była od mojej i dobrze to wiedziałem, że w walce woli jego z moją, jego wola zwyciężyć musi. I właściwie nic się nie stało, fakt żaden najdrobniejszy nie zaszedł! Gdy Roza weszła, widmo, jak rzekłem, zniknęło. Już potem wiele z Rozą nie rozmawialiśmy; nie mogliśmy... trwoga nas zdjęła.

Wróciłem do hotelu; w pokoju moim siedziałem samotny; nie ukazała mi się żadna zjawa. Ale czułem to dobrze, jaki los zawisł nade mną. I w istocie, już teraz ogarnęło mną dziwne uczucie odpływu woli; zdawało mi się nadto, że tracę zainteresowanie życiem — ochotę, radość do życia. Opadło mnie jakieś ogólne przytępienie — jakaś obojętność na to, czy żyję, czy też nie żyję. Tyle tylko wiedziałem, że w żadnym wypadku kochać Rozy nie przestanę. Ta moja miłość nie zależała od mojej woli i duch Clarenceux, pomimo wszystko, nie mógł mi jej wydrzeć z serca. Mogłem umrzeć, mogłem przecierpieć niepojęte męki duszy, ale to wiedziałem, że nie przestanę kochać. W tej myśli też leżała cała moja uciecha.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zjazd urzędników rad powiatowych.

W życiu autonomicznem naszego kraju bardzo poważną rolę odgrywają rady powiatowe; mając powierzony swej pieczy niewielki obszar, mogą przy rozumnej gospodarce przyczynić się bardzo wydatnie do podniesienia i rozwoju danego powiatu. A oczywista rzecz, że działalność rady powiatowej zależną jest nietylko od inicyatywy i energii członków tej instytucyi, wybieranych przez ludność powiatu, lecz i od sprężystości i sumienności jej urzędników. Jest też tendencya w ostatnich latach, by posady w radach powiatowych powierzać ludziom z odpowiedniem wykształceniem i studyami, co bardzo dodatnio wpływa na podniesienie powagi tych autonomicznych urzędów.



Fot. M. Münz, Lwów,

Zjazd urzędników rad powiatowych: Delegaci związku urzędników rad powiatowych, z prezesem posłem T. Mernnowiczem (X) w pośrodku.

Urzędnicy galicyjskich rad powiatowych zrzeszeni są w związku, istniejącym już od szeregu lat i rozwijającym się bardzo pięknie.

Związek ten ma na celu obronę zawodowych interesów urzędników rad powiatowych, zapewnienie im odpowiedniej pragmatyki, emerytury, oraz przeprowadzenia szeregu drobniejszych postulatów.

W ubiegłą niedzielę odbył się właśnie zjazd delegatów związku, we Lwowie, w sali tamtejszej rady powiatowej, przy udziale przeszło 30 delegatów, przybyłych ze wszystkich stron kraju. Przewodniczył obradom prezes związku, poseł Teofiil Merunowicz, sekretarz lwowskiej rady powiatowej. Z obszernego sprawozdania, przedstawionego przez prezesa związku, o działalności w roku ubiegłym, wynika, iż wydział związku starał się bardzo usilnie o przeprowadzenie tych wszystkich spraw zawodowych, które mu zostały oddane do załatwienia przez ostatni zjazd delegatów.

W ciągu ożywionych narad uchwalono szereg wniosków, oraz dokonano wyboru zarządu związku, którego prezesem został wybrany ponownie poseł Teofil Merunowicz.

Zgon zasłużonego posła.

Ziemiaństwo polskie poniosło bolesną i dotkliwą stratę, zmarł bowiem jeden z najwybitniejszych i najczcigodniejszych jego przedstawicieli, ś. p. Stefan Prawdzic Sękowski, marszałek powiatu mieleckiego, poseł sejmowy, prezes Banku akcyjnego dla stowarzyszeń zarobkowycn, odznaczony kilku orderami, człowiek wielce zasłużony i ogólnie poważany.

Ś. p. Sękowski był jedną z nielicznych już dziś, a tak pięknych postaci szlachcica i ziemianina, kochającego całem sercem ziemię przodków i oddanego w całości pracy społecznej. Otwartej i szczerej natury, zawsze pełen jowialnego humoru, wielkiej dobroci serca, malującej się na pięknej, sarmackiej twarzy, gotów każdej chwili do pracy i ofiary na rzecz sprawy publicznej, ogromnie uczynny i przystępny, liczył też ś. p. Sękowski bardzo wielu przyjaciół, a nie miał chyba wcale wrogów osobistych. Na pomoc tego dzielnego i zacnego obywatela można było zawsze liczyć, jeśli chodziło o dobrą i godziwą sprawę, nie zawiódł nigdy, a wnosił ze sobą zawsze dużo zapału, dużo rozmachu i optymizmu.

Na stanowisku marszałka powiatu mieleckiego pracował chlubnie przeszło ćwierć wieku, dbając usilnie o jak najpiękniejszy rozwój i postęp tej części kraju. Jako poseł sejmowy należał do najpracowitszych, zawsze był czynny, zawsze ruchliwy, swoją pracowitością i zapałem zagrzewał i zachęcał innych, stanowiąc piękny przykład szlachetnej ofiarności na cele publiczne. W szczególności duże zasługi położył zmarły poseł jako przewodniczący komisyi agrarnej, a chlubnym owocem jego starań na tem stanowisku jest sprawa Rady kultury krajowej.

Zgon przedwczesny ś. p. Sękowskiego — liczył zaledwie 51 lat życia — spotkał się też z ogólnym i szczerym żalem. Pozostanie po nim pustka, pozostanie luka, którą niełatwo będzie zapełnić, bo coraz trudniej o ludzi ofiarnych, o ludzi chętnych do ciężkiej a niewdzięcznej pracy publicznej.

Ś. p. Sękowski zmarł w swych dobrach Wojsławiu, osierocając małżonkę, p. Karolinę z Szlachtowskich i sześcioro dzieci.

Cześć Jego pamięci!



Zgon zasłużonego posła: Śp. Stefan Prawdzic Sękowski.

Z ruchu turystycznego.

(Do illustracyi na str. 15).

Z każdym rokiem wzrasta wśród młodzieży naszej zamiłowanie do turystyki, coraz częściej też i coraz liczniejsze organizują się wycieczki w góry nasze, których zwiedzenie dostarcza tylu pięknych wrażeń.

Niezmiernie ruchliwą działalność na tem polu rozwinął zwłaszcza akademicki związek turystyczny, który w ciągu paru ostatnich lat urządził bardzo wiele wycieczek w góry, bądź w okolice Jaremcza i Worochty, bądź w okolice Skolego, bądź wreszcie w Tatry.

Ostatnią wycieczkę tego klubu, pod przewodnictwem prezesa dr. Orłowicza, przedstawia nasza rycina w czasie odpoczynku na „Łysej polanie“ na granicy węgierskiej, ze Morskiem Okiem w Tatrach.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowa linia tramwajowa we Lwowie: Komisya, odbierająca nową linię tramwajową we Lwowie, prowadzącą na Wysoki Zamek. W pośrodku prezydent miasta Lwowa, Ciuchciński (X).

Kronika tygodniowa.

(Podróż nowym kanałem. — Rozmowa przez telefon na podstawie nowego regulaminu). — Automatyczne telefony i ich urządzenie. — Dlaczego panienki od telefonów są tak podrażnione. — Oj, mężczyźni, mężczyźni! — Na zieloną trawkę.— Kto ma racyę? — Co robić? — O przyjemnem dla Polaków zakończeniu mowy cesarza Wilhelma. — Wiluś dziennikarzem.— Der lästige Untertane. — Co słychać w Kole. — Grupa pracy. — Kanalarze. — Jaki wynik zabiegów. — Zdanie dra Russa. — Konferencya kanałowa. — Czesi i Niemcy.)

Korzystając z kanikuły i okresu wakacyjnego, który dla mnie szczególniej przedstawia się bardzo ponętnie, gdyż czcigodna moja połowica raczyła jeszcze dotąd nie wrócić ze świeżego powietrza, postanowiłem wybrać się kanałem Wisła-Odra-Dunaj do Wiednia, aby na miejscu przekonać się, jak sprawy stoją. Szlachetne usiłowania spełzły naturalnie na niczem, jak bowiem wiadomo kanału jeszcze niema i prawdopodobnie nigdy nie będzie, gdyż rząd sprzyja krajowi, a kraj nie chce się znów narazić rządowi. Chciałem się potem porozumieć przynajmniej zapomocą telefonu, ponieważ jednak nowy regulamin, tłómaczący wszystko na niekorzyść abonenta, wszedł już podobno w życie, oddając nas na łaskę i niełaskę zdenerwowanych niewiast i tu czekał mnie zawód. W myśl regulaminu oświadczono mi, bez podania przyczyny, że się odmawia połączenia i basta. Gdym chciał remonstrować, cienki głosik z rury (o ile z tonu mogłem wnosić, właścicielka jego musi być dość przystojną, ale energiczną) oświadczył mi kategorycznie, bym czasu nie zabierał, bo wniesie skargę do Dyrekcyi, a mnie czeka kryminał za obrazę c. k. telefonu.

Położyłem potulnie uszy po sobie i zrezygnowałem z rozmowy, telefonistkom zaś poprzysiągłem straszną zemstę i gdyby tak łaskawe niebiosa pozwoliły odprowadzić drugą połowę mego związku małżeńskiego na miejsce wiecznego spoczynku, nigdybym się z żadną z nich nie ożenił.

Wzdycham natomiast do automatycznych telefonów, które mają być u nas już wkrótce zaprowadzone w miejsce dotychczasowych „z damską obsługą“, przypuszczam bowiem, że nie będą tak, jak tamte zdenerwowane. Opowiadał mi wprawdzie pewien mechanik, że i przy automatycznych telefonach jest odpowiednie urządzenie, które sprawia, że gdy aparat jest zanadto znudzony, a abonent mimo to ciągle mu się naprzykrza, rozpoczyna bierny opór, potem zaś zupełnie odmawia posłuszeństwa, gdy zaś i to nie pomoże z rury wysuwa się lufa rewolweru i wali prosto w abonenta. Jeśli jest chudy, kula łatwo może go ominąć, jeśli tłusty, zguba jego jest pewną. Dzięki mym jasnokościstym kształtom nie potrzebuję się więc obawiać katastrofy, natomiast bardzo chętnie przy rozmowach telefonicznych będę się posługiwał mą kochaną żoneczką, która objętością i wagą przypomina zupełnie pana Staszczyka w latach jego najpiękniejszego cielesnego rozkwitu.

Wracając jeszcze do zdenerwowanych panienek, które jak rok długi dzień po dniu łączą ciągle rozmawiające pary a same nie mogą się doczekać połączenia, nie dziwię im się bynajmniej, że gniewają się, gdy im kto przerwie wesołą a ciekawą rozmowę i sam, będąc na ich miejscu, nie robiłbym inaczej. Abonent może sobie minutkę poczekać, póki panna Zosia, Mania lub Jadzia nie dokończy zajmującego opowiadania o spotkaniu z panem Stasiem lub Zdzisiem, który musi być stanowczo zakochany, bo jest blady i chudnie, prawdopodobnie od ciągłych westchnień... Najbardziej impertynenckimi są naturalnie mężczyźni, którzy ubzdurali sobie, że telefon, skoro za niego drogo płacą, powinien im służyć ku wygodzie, a nie przysparzać zmartwień i kłopotów. Także sobie dzika pretensya! Na coś podobnego zdobyć się może tylko taki potwór w ludzkiem ciele, jakim jest, był i będzie mężczyzna, a zwłaszcza stary kawaler, ci zaś mają zawsze najbardziej wygórowane wymogi.

Albo też, czy nie może być policzonem to zdenerwowanie na karb nieprzyjemnej wcale nadziei, że już wkrótce czeka biedaczki niektóre tak zwana „zielona trawa“, gdyż szeregi ich zostaną zmniejszone z chwilą wprowadzenia telefonów automatycznych? I w tym wypadku muszę im częściowo przyznać racyę, gdybym bowiem był w tem miłem położeniu, iż wiedziałbym, że mnie za miesiąc czy dwa, mówiąc po galicyjsku „wyleją“ z zajmowanego stanowiska, przynajmniej przez te ostatnie chwile starałbym się dokuczyć społeczeństwu.

Nie gniewajmy się więc na biedne telefonistki, skoro, jak widzimy, racya jest w pewnej części po ich stronie, raczej ubolewajmy nad swą dolą, gdyż znów powiększą się szeregi sufrażystek, które narzekając na swą mizeryę i upośledzenie, będą się starać w innych dziedzinach z naszą krzywdą wynaleść sobie zajęcie. Jedyny ratunek widziałbym w tem, gdyby nasza młodzież zabrała się energicznie do dzieła i poślubiła wszystkie mniej lub więcej leciwe dziewice. Sufrażystki zniknęłyby z widowni, cała sprawa spadłaby z porządku dziennego a projektodawca mógłby całkiem śmiało ubiegać się o nagrodę pokojową z fundacyi Nobla.

Mógłby mi kto zarzucić, że widać nie jestem wielkim wielbicielem telefonu, a jednak piszę tyle o nim! Niestety, pisać się musi o wszystkiem, nie tylko o tem, co się lubi lub kocha. Tej kronikarskiej bezstronności daję zawsze piękne dowody w każdej prawie kronice wspominając o swej dozgonnej towarzyszce życia i cesarzu Wilhelmie. Obydwoje zalali mi dość sadła za skórę, a przecież z wdzięcznem sercem poświęcam im wzmianki, nie spodziewając się zato żadnego rewanżu. Bo i cóż mógłbym od nich dostać? Od żony to jeszcze, ale od cesarza Wilhelma! Nie chcę jednak ani tego, ani tamtego.

I dziś zaczepić muszę o Niemcy, w dniu bowiem 20 sierpnia obchodzi Poznań uroczystą installacyę Hohenzollernów na poznańskim zamku. Przybywa na ten fest cesarz i jego małżonka, członkowie domu panującego, politycy, dyplomaci, zaproszono nawet przedstawicieli polskiej ludności. Według oficyalnego programu wygłosi cesarz wielką polityczną mowę, ułożoną przez odpowiedzialne „osobistości“, która będzie przy końcu zawierać zwrot nader przyjemny dla Polaków! Tak przynajmniej obiecuje wtajemniczona prasa niemiecka.

Z tej przyczyny zaczynają się nie na żarty zastanawiać, czy przypadkowo dotychczasowa polityka pruska względem Polaków nie ulegnie zmianie? — Wzmianki tu i ówdzie we wrogo względem nas usposobionej prasie o bezcelowości dotychczasowego postępowania z Polakami, wstrzymanie ogłoszenia prawa wywłaszczania, a wreszcie owo „sympatyczne“ zakończenie cesarskiej mowy, mają być zwiastunami nowego kierunku, mnie się jednak zdaje, że jest to urabianie tylko nastroju przed przyjazdem cesarza nad Wartę, po wyjeździe zaś pozostanie *alles beim Alten!*

Ogromnie jestem ciekawy, jak będzie wyglądał ów nader przyjemny zwrot końcowy cesarskiej oracyi, to bowiem, co mogłoby nam się podobać, z ust władcy Germanów i spadkobiercy krzyżackich tradycyi, nie wyjdzie, to zaś, co w ich zrozumieniu rzeczy miałoby być dla nas miłem, nigdy za takie przez nas uznanem być nie może. Chyba, że będzie to zdanie: „Już tu prędko między wami się nie pokażę!...“ Na to możnaby się zgodzić i jedna i druga strona powinny być z tego zadowolone.

Przy tej sposobności warto wspomnieć, że cesarz Wilhelm ma zamiar zostać naszym kolegą po piórze, zamierza bowiem wydawać dziennik. Był już artystą-malarzem, rzeźbiarzem, muzykiem, autorem dramatyczno-baletowym, nie był jednak dotąd publicystą. W tym fachu łatwo mu będzie bardzo zrobić karyerę, wystarczy tylko, aby kolejno opublikował swe listy i przemowy, a powstaną nowe „Perły politycznego humoru“. Przyznano się także, że *incognito* pracował cesarz Wilhelm i w „Nowościach illustrowanych“, dopomagając mi cenną swą radą do rozwikłania niektórych trudności politycznych i w stawianiu horoskopów na przyszłość. Wszystkie me przepowiednie, które się nie spełniły, pochodzą właśnie z tego źródła.

W dziwnem świetle wyglądać także będzie pan Wilhelm Hohenzollern, jako nowy obywatel prowincyi poznańskiej. „Berliner Morgenpost“ donosząc o uroczystościach poznańskich, nie wspomina wcale, iż mają one stanowić przeciwwagę Grunwaldu, ale owszem, jak i inne organa prasy, przybiera niewinną minkę i oświadcza, że „na uroczystość otwarcia zamku zaproszeni są wybitni Polacy a cesarz obejmując zamek, stanie się obywatelem miasta i prowincyi“. Znając zaś gadatliwość jego cesarskiej mości i drażliwość władz poznańskich, obawiam się bardzo, by z czasem nie przyszło do konfliktu, i by nowego obywatela, jako „lästigen Untertanen“, nie wydalono za granice prowincyi, lub do miejsca urodzenia.

Co się tyczy naszej wewnętrznej polityki, to pomimo, że wakacye, opinia publiczna zajęta jest ciągle dwoma sprawami: usunięciem dr. Germana z grona narodowej demokracyi i budową kanałów. — W związku z pierwszą z nich stoi projektowane założenie w łonie Koła polskiego nowej grupy, tak zwanej pracy, pod której sztandarem zszeregowaliby się dezerterzy z pod innych chorągwi, głównie naturalnie germanofile, czyli antigrabiści. Grupa ta powiększy liczbę już istniejących: np. tarokową, bufetową, dyet poselskich i podobno, jak poseł German zapewnia, w krótkim już czasie odegra bardzo wybitną rolę w życiu politycznem, choć „Słowo polskie“ twierdzi, że to nie prawda. Podnoszą się nawet głosy, że autorem planu utworzenia nowej grupy ma być podobno sam prezes Głąbiński, ja jednak nie wierzę, choćby dlatego tylko, że przeczy temu nawet tak poważny organ polityczny, jak „Gazeta poniedziałkowa“.

Co do drugiej sprawy, to jest budowy kanałów, to śmiało każdego z polityków, do jakiejkolwiek frakcyi należy, możemy nazwać kanalarzem, jedni bowiem bronią kanałów, inni gwałtownie przeciw nim oponują. *Pro* stoi Koło polskie, *contra* wszystkie inne stronnictwa. Od szeregu tygodni prowadzi wiedeńska „Neue freie Presse“ systematyczną kampanię przeciw budowie kanału Dunaj Odra-Wisła. W ubiegłym dopiero tygodniu zamieściła artykuł, oświadczający się za budową kanałów. Jest to obszerny i rzeczowo napisany artykuł dra Russa. Autor wykazuje w dosadny sposób, że gdyby kanałów nie zbudowano, wbrew ustawie, która je budować nakazuje, to pogwałcenie tej ustawy będzie krzywdą dla Austryi niższej, Moraw i Galicyi. Dr Russ przypomina, że w motywach sprawozdania rządowego o kanałach, przedłożonych parlamentowi, powiedziano wyraźnie, że rząd jest zdecydowany nie zważać na finansową rentowność kanałów, tylko na rentowność gospodarczą. Zbiwszy zaś rzeczowo wszystkie zarzuty przeciw budowie kanałów, dr. Russ na pytanie, co należy budować, kanały, czy trzeci tor kolei północnej, odpowiada: „kanały i trzeci tor!“

Sprawa kanałów, która z końcem sesyi tak zaogniła sytuacyę, ma być właśnie w dniu 18 b. m., (to jest dzisiaj) przedmiotem konferencyi pomiędzy prezydentem ministrów a prezydyum Koła polskiego. Sytuacya jest tego rodzaju, że rząd musi się zdecydować, czy będzie kanały budować, czy nie, zależy więc tylko od Koła, jakie zajmie stanowisko. Opowiadają, że w zamian za zrzeczenie się kanałów przygotowuje państwo dla kraju szereg najróżnorodniejszych koncesyi, a jedną z nich jest zaprowadzenie muzyki w krakowskim pułku landwery, co przyczyni się do rozweselenia sytuacyi i zwiększenia bitności naszej armii, która tego roku z powodu nosacizny nie będzie mogła pokazać, co umie. Każdy landwerzysta zyska teraz w oczach naszej kucharki przynajmniej o 25%. Za tą koncesyą ma pójść cała gromada podobnych, za taką więc cenę warto się wyrzec kanałów, których zaprzepaszczenie nazywają: niesłychanym skandalem, jaki nie powinien mieć miejsca w państwie konstytucyjnem.

Bojąc się, by i mnie przypadkiem nie nazwał kto z Szanownych Czytelników kanalarzem, skoro tak często o kanałach wspominam, przechodzę do innego punktu.

Chodzi mi mianowicie o Czechów, którzy narażeni są w Wiedniu na ciągłe nieprzyjemności, choćby przybyli nawet w tak niewinnym celu, jak obecnie, to jest, aby obejrzeć wystawę łowiecką. Bursze niemieccy, napojeni od strony Berlina nienawiścią do wszystkiego, co słowiańskie, a rzekomo bojąc się, by nie ucierpiał na tem niemiecki charakter stolicy, liczącej coś ponad czterykroć Czechów w swych murach, urządzają przy każdej sposobności prowokacyjne zaczepki, a co najważniejsze, sfery miarodajne stają zawsze po stronie zaczepiających, a nie krzywdzonych! Ciekawy jestem, co mogłoby zaszkodzić polskiemu charakterowi Krakowa, choćby tu zjechał sam pan Dudykiewicz, Trylowski, Petrycki i Budzynowski, choćby tu siedzieli przez tydzień i oglądali pamiątki i zabytki? Raczej powinnibyśmy się cieszyć, że wpłynie może na nich kultura nasza i że z odwiedzin skorzystają. *X.*

Zgon redaktora w więzieniu.

Przed paru dniami zmarł nagle w Warszawie na anewryzm serca Władysław Okręt, b. wydawca i redaktor „Nowin", oraz współredaktor wydawanej przez jego ojca, Rudolfa Okręta, „Gazety Handlowej". Ś. p. Władysław Okręt zmarł w więzieniu przy ulicy Dzielnej, czyli na t. zw. „Pawiaku", gdzie odsiadywał karę jednorocznego więzienia za artykuły, opublikowane w swoim czasie w „Nowinach".



Zgon redaktora w więzieniu: Śp. Władysław Okręt.

Ś. p. Władysław Okręt liczył lat 35; urodzony w Warszawie, kształcił się na uniwersytetach niemieckich i przygotowywał się początkowo do zawodu handlowego. Z czasem wzięła w nim górę żyłka wydawniczo-redaktorska i począł zajmować się wydawnictwami przygodnemi, równocześnie zaś pisywał do „Gazety Handlowej".

Poważniejszem wydawnictwem ś. p. Okręta były dopiero „Nowiny", pismo tygodniowe, wydawane w formacie zwykłego dziennika w poniedziałki oraz dni poświąteczne, kiedy tylko nieliczne pisma wychodzą.

„Nowiny" miały charakter pisma postępowo-demokratycznego, to też wnet weszły w konflikt z władzami warszawskiemi. Z chwilą ogłoszenia stanu wojennego, gdy „Nowiny" nie zmieniły tonu artykułów, nastąpiły represye, wydawca pisma, ś. p. Okręt dostał się do więzienia, a pismo przestało wychodzić. Rozprawa sądowa skończyła się zasądzeniem ś. p. Okręta na rok twierdzy. Karę tę odsiadywał najpierw we Włocławku, a niedawno został przeniesiony na Pawiak. Za dwa tygodnie miał już opuścić mury więzienia, niestety śmierć nie pozwoliła mu nacieszyć się wolnością.

Przedwczesny i niespodziewany zgon śp. Okręta wywołał w Warszawie ogólny żal i współczucie.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Z ruchu turystycznego: Wycieczka akademicka Związku turystycznego we Lwowie, z prezesem dr. Orłowiczem (X) na czele, na „łysej polanie" w Tatrach.

„Hrabia Luksemburg".

Lehar, najpopularniejszy obecnie z kompozytorów operetkowych, śmiało może powiedzieć o sobie, że urodził się w czepku, ma bowiem fenomenalne szczęście z swymi utworami, które wstępnym bojem zdobywają sobie sympatyę i uznanie publiczności. Tak było z „Wesołą Wdówką", która w tryumfalnym pochodzie przeszła cały świat cywilizowany i przysporzyła autorowi sporo grosza (obliczają je na miliony), tak zapowiada się „Hrabia Luksemburg", który ma wszelkie szanse utrzymania się przez dłuższy czas na repertuarze.

Zarzucano wprawdzie Leharowi, że melodye „Hrabiego Luksemburga" przypominają bardzo „Wesołą wdówkę", a bohater jest tylko odbiciem hrabiego Daniły, nie widzę jednak w tem nic dziwnego, gdyż tak jedna jak i druga sztuka oparta jest głównie na motywach walca. Wystarczy zupełnie dla przeciętnego człowieka, a ci są właściwymi zwolennikami operetek, zostawiając opery dla wysoce muzykalnych umysłów, że tak jedna jak i druga jest nader melodyjna, libretto posiada sens, a także i humor. Zwolennik wyższej muzyki nie potrafi się naturalnie zająć tak „Hrabią Luksemburgiem", jak jakiemś niezrozumiałem dla reszty śmiertelników dziełem Wagnera, jeśli jednak zastosuje się tu właściwą miarę, musi się stanowczo stwierdzić, że „Hrabia Luksemburg" odpowiedział wszystkim warunkom, jakie stawiamy operetkom...

Do powodzenia każdej sztuki przyczynia się, rzecz prosta, wystawa, a głównie gra artystów, którzy, jeśli chcą, potrafią z lichej sztuki zrobić, jak to powiadają, „coś", a najlepszą też zasypać.

Przy tej obsadzie, jaką widzieliśmy w Krakowie, „Hrabia Luksemburg" może liczyć na stałe powodzenie, trudno bowiem nawet wyobrazić sobie, by można w inny sposób oddać intencye autora. Właściwie powinnoby się powiedzieć ogólnie: gra artystów była doskonałą i nie pozostawiła nic do życzenia, tak pod względem wokalnym jak i dramatycznym, byłoby to jednak połączone z pewną krzywdą dla poszczególnych jednostek.

Z względów, płci pięknej słusznie się należących, zacząć wypada od właściwej bohaterki p. Miłowskiej, która w roli Angeli Didier zdobyła nowe laury. Krytyka tak ją zresztą wychwaliła, że chcąc nie chcąc, musiałbym tylko powtórzyć to, co już Czytelnicy skądinąd wiedzą. Pani Kasprowiczowa znakomita była w swej epizodycznej roli leciwej a rozkochanej hrabiny Kokowcew. Do obu dostroiła się wybornie p. Markowska, jako Julia Vermont, narzeczona malarza Armanda Brissarda. Rola to swoją drogą bardzo wdzięczna, dająca pole do po-



„Hrabia Luksemburg": P. Kuligowski, p. Markowska i p, Zaremba.

pisu. Tak sympatycznej pary, jak panna Markowska z swym szykownym partnerem panem Kuligowskim, już dawno nie widzieliśmy. Był to, jakby obrazek żywcem wycięty z artystycznego światka.



„Hrabia Luksemburg": P. Markowska i p. Kuligowski, w walcu z całusami.

Panna Markowska śpiewała bardzo pięknie, grą, wdziękiem i naiwną szczerością, pełną jednak temperamentu, wywołując salwy oklasków, pan Kuligowski interesował jak zwykle spokojną, miarową grą i doskonałym śpiewem. Kulminacyjnym jednak punktem były tańce młodej pary, n. p. taniec w pocałunku i taniec po schodach, które na burzliwe żądanie publiczności musiały być powtarzane.

Wprost niezrównanym był także p. Zaremba, jako książę Wasyl Wasyljewicz, mąż o „młodem sercu, ale słabych już nogach". Każde pojawienie się starego donżuana witano huraganem śmiechu i burzą oklasków, a gdy zasłona po trzecim akcie opadła, ubolewano, że to tak prędko się skończyło, gdyż wśród miłej zabawy ani człek nie spostrzegł, jak rychło mknęła godzina za godziną.

Pan Solnicki, jako hrabia Luksemburg, był wykonawcą tytułowej roli, w połowie bardzo wesołej w połowie nawet dość sentymentalnej i dość dramatycznej.

Reszta artystów dostrajała się do wyżej wymienionych, łącząc się w wspaniały zespoł, o jakim tylko można zamarzyć.

To zapowiada „Luksemburgowi" długotrwałe powodzenie.

Pożar wielkiej wystawy w Brukseli.

Belgia, choć rozmiarami niewielka, ma jednak niesłychanie wysoko rozwinięty przemysł i handel, należy też do najbogatszych państw w Europie. W odstępach kilkuletnich urządzają tam prywatne konsorcya pod opieką i przy poparciu państwa, międzynarodowe wystawy, które pozwalają ocenić rozwój i postęp tego kraju, w porównaniu z innymi, biorącymi również udział w wystawie. Szósta z rzędu wystawa odbywa się w tym roku w stolicy Belgii, w Brukseli.

Wystawa tegoroczna jest bodaj najświetniejszą ze wszystkich, jakie dotąd wogóle zostały urządzone. Prócz Belgii wystąpiły na niej: Austrya, Anglia, Brazylia, Dania, Francya, Hiszpania, Holandya, Luxemburg, Niemcy, Szwajcarya, Włochy, dalej Stany Zjednoczone Ameryki, Japonia, Chiny, Kanada, Peru, Persya, Turcya i t. d., słowem prawie wszystkie cywilizowane państwa całego świata.

Wystawa zajmuje 100 ha., z czego pod budynki wzięto 250.000 m². Otwarta w maju, cieszyła się ogromnem powodzeniem, była bowiem, jak już wspomnieliśmy, nadzwyczaj piękna i godna zwiedzenia.



„Hrabia Luksemburg": P. Zaremba, jako książę Wasyl Wasyljewicz.



Pożar wielkiej wystawy w Brukseli: Główne wejście pawilonu belgijskiego, który w całości spłonął

W ubiegłą sobotę wydarzyła się jednak na placu wystawy katastrofa, która wyrządziła olbrzymie szkody i część wystawy zupełnie zniszczyła. Wybuchł tam mianowicie z niezbadanych na razie powodów gwałtowny pożar, który ogarnął oddział belgijski i angielski, uszkodził znacznie francuski i włoski, tak że z większych oddziałów ocalał tylko niemiecki, oraz pomniejsze pawilony zagraniczne.

Pożar przyszedł w pełnym sezonie, gdy między plażami belgijskiemi a Brukselą odbywał się najżywszy ruch i gdy stolica Belgii zbierała najobfitsze żniwo. Wobec tego zaś, że ofiarą pożogi padły między innemi i wartościowe dzieła sztuki, których nic już nie zdoła odrobić, szkody są wprost nie do ocenienia. Wiadomość też o pożarze, który zniszczył część wystawy, spotkała się z wrażeniem przygnębiającem i obudziła współczucie szczere dla dzielnego narodu, który na świecie swej wysokiej kultury spotkał się z takiem nieszczęściem.

Pożar wybuchł w sobotę około 9 wieczór na oddziale belgijskim, a rozszerzając się szybko, objął płomieniami oddział francuski i angielski. Spłonęła w całości prawie „Stara Bruksela“, dalej 17 domów przy „Avenue du Solbosch“. Z wystawy francuskiej padł ofiarą pożogi oddział środków żywności, pawilon miasta Paryża i w małej części inne oddziały przemysłowe.

Straty wystawy angielskiej są ogromne i nie powetowane. Przedmioty, które spłonęły, były własnością znanych zbieraczów sztuki. Wiele dzieł stanowiło unikaty.

Spłonęło dalej bardzo wiele biżuteryi i drogich kamieni, co również przyczyniło się do zwiększenia szkód. W ludziach na szczęście — jak się zdaje — ofiar nie ma.

Szkody wynoszą ogółem kilkadziesiąt milionów koron, a poniosły je towarzystwa ubezpieczeń angielskie i francuskie.

Mimo zniszczenia znacznej części wystawy, nie została ona zamknięta, a napływ zwiedzających jest ogromny. Rząd belgijski zamierza przystąpić natychmiast do odbudowania pawilonów spalonych, tak samo odbudowany ma być zaraz pawilon angielski.



Pożar wielkiej wystawy w Brukseli: „Ulica narodów“, gdzie pożar zniszczył wiele pawilonów.

Za kilka tygodni nie będzie już na placu wystawy ani śladu olbrzymiej katastrofy.

Kongres dla hygieny szkolnej.

Hvgiena, zwłaszcza hygiena w szkole, to przedmiot, zajmujący uwagę społeczeństwa w nader wysokim stopniu, gdyż tylko w zdrowem ciele można myśleć o wykształceniu zdrowego ducha. Minęły już dzięki Bogu te czasy, kiedy to kwestya zdrowotności schodziła z zasady na drugi plan, a pedagogia zasadzała się na tem, aby wyczerpać przepisany materyał naukowy, choćby nawet stać się to miało ze szkodą młodzieży. Dziś widzimy wybitną zmianę na lepsze, szkolnictwo galicyjskie, dzięki rozumnym zabiegom jednostek, stanęło na tym stopniu rozwoju kulturalnego, że bez obawy mogło wziąć udział w międzynarodowym kongresie dla hygieny szkolnej, jaki się odbył w Paryżu w dniach



Kongres dla hygieny szkolnej: Grupa Polaków, którzy brali udział w obradach międzynarodowego kongresu dla hygieny szkolnej w Paryżu. 1. prezes dr. Ignacy Dembowski, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej; 2. radca dworu B. Baranowski; 3. radca K. Bruchnalski; 4. dr. Wł Hojnacki; 5. prof. dr. O. Bujwid; 6. pni Philippi; 7. pna Bujwidówna; 8. dr. Kuhn; 9. pna O. Philippi; 10. prof. Błażek; 11. prof. Łukasiewicz; 12. dyr. Pardyak; 13. dr. Kaczorowski; 14. drowa Kopczyńska; 15. dr. Kopczyński (z Warszawy); 16. dr. E Piasecki; 17. pna dr. Szczawińska (z Paryża); 18. prof. dr. Kuczera; 19. fizyk m. Krakowa dr. Janiszewski; 20 pna Friedberg z Krakowa; 21. drowa Piasecka; 22. dr. Orski; 23. dr. Szcz. Mikołajski; 24. prof. dr. L. Bykowski.

od 2—7 sierpnia b. r. i w połączonej z nim wystawie.

Wśród około tysiąca przyjezdnych z obu półkól ziemi, znalazła się także i spora liczba Polaków, bo prawie czterdzieści osób różnych zawodów, interesujących się jednak rozwojem naszego szkolnictwa. W obradach sekcyjnych brało udział kilku referentów Polaków, a dział naszej wystawy wybił się prawie na pierwsze miejsce parkami do gier i zabaw, oraz robotami ręcznemi uczniów, dokonywanemi w rozwijających się coraz pomyślniej warsztatach studenckich. Zasługa to w pierwszym rzędzie wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej, dra Ignacego Dembowskiego, który zajął się energicznie tą sprawą, wpływem swym wyjednał znaczne zasiłki i ulgi i dołożył starań tak w kraju jak i na miejscu, około należytego przedstawienia Galicyi wobec świata. Urządzenie techniczne wystawy spoczywało w rękach niedoścignionego w tym kierunku radcy Bruchnalskiego, który wywiązał się znakomicie ze swego zadania.



Pożar wielkiej wystawy w Brukseli: Oddział hiszpański, ocalony w całości.

Nic też dziwnego, że koło działu polskiego wystawy było ciągle pełno ciekawych, korespondenci pism paryskich żądali fachowych wyjaśnień, a dzienniki miejscowe i zagraniczne za nimi, poświęcały tej sprawie całe szpalty.

Przyczyniło się do tego także niemało wydanie nader ozdobne w języku francuskim pracy dra Eugeniusza Piaseckiego ze Lwowa o hygienie w szkołach polskich, którą w tysiącach egzemplarzy rozdawano pomiędzy członków kongresu i zwiedzających wystawę. Doczekała się ona zaszczytnej wzmianki i podziękowania z ust prezydyum kongresu przy tegoż zamknięciu.

Wystawa hygieny szkolnej otwartą jest przez cały miesiąc sierpień.

Widzimy z tego, że nie jesteśmy przecie tak zacofanym krajem, w którym wszystko dzieje się o sto lat wstecz. Trzeba tylko trochę pracy i dobrej woli, a będzie inaczej.

Nowa linia tramwajowa we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 13.)

Jedno z najpiękniejszych we Lwowie miejsc spacerowych, uroczy Wysoki Zamek, skąd roztacza się tak prześliczny widok na całą kotlinę lwowską, doczekał się wreszcie połączenia z śródmieściem zapomocą linii tramwaju elektrycznego.

Budowa tej linii, najnowszej we Lwowie i dopiero przed kilkunastu dniami ukończonej, wymagała dużych nakładów pieniężnych, droga bowiem prowadzi pod górę, a niektóre jej miejsce musiały uledz splantowaniu.

Długość linii na Wysoki Zamek od kawiarni wiedeńskiej t. j. od centralnego przystanku, wynosi około 1700 metrów; linię tę podzielono na dwie sekcye, co — nawiasem mówiąc — nie podoba się mieszkańcom Lwowa, gdyż obie sekcye są bardzo krótkie, a wskutek tego jazda na Wysoki Zamek dość kosztowna. Magistrat atoli był zdania, że niższe ceny na tej linii nie dadzą dochodów, potrzebnych na jej utrzymanie.

Przed otwarciem linii i oddaniem jej do użytku publicznego, oglądała całą drogę komisya, w skład której wchodził prócz prezydyum rady miejskiej, urzędników magistratu, policyi i t. d., także delegat ministerstwa kolei.

Rycina nasza przedstawia członków komisyi u stacyi końcowej.

Nowy profesor śpiewu w konserwatoryum krakowskiem.

Na miejsce prof. Aleksandra Bandrowskiego pozyskało konserwatoryum krakowskie nauczyciela śpiewu w osobie znakomitego śpiewaka, Adama Ludwiga, tak dobrze zapisanego w pamięci publiczności krakowskiej z czasów występów w sezonach operowych teatru lwowskiego.

Pan Adam Ludwig, uczeń słynnej szkoły Paschalis-Souvestrów, był przez szereg lat artystą operowym i tym charakterze zdobył sobie imię bardzo głośne. W śpiewie jego zaś podziwiano nietylko prześliczny z natury głos, ale przedewszystkiem doskonałe jego ustawienie, widoczny wpływ dobrej szkoły, w której ten śpiewak się kształcił i z której wyszedł. I już jako śpiewak operowy próbował Ludwig swych sił na polu pedagogicznem, a do uczenic jego należały między innemi tak doskonałe śpiewaczki, jak panny Hendrichówna i Markówna.



Nowy profesor śpiewu w konsewatoryum krakowskiem: Prof. Adam Ludwig.

Zauważyć też trzeba, że pan Ludwig ma dyplom profesora muzyki i śpiewu, uzyskany na podstawie egzaminu przed rządową komisyą konserwatoryum w Pradze.

To też pozyskanie znakomitego śpiewaka i profesora dla konserwatoryum krakowskiego jest wypadkiem ważnym i wpłynie niewątpliwie dodatnio na rozwój tej instytucyi. O ile jednak cieszyć się wypada z pozyskania p. Ludwiga na stanowisko profesora konserwatoryum, o tyle żałować należy, że w ten sposób opera polska traci tak dzielną, tak inteligentną i tak ślicznym głosem obdarzoną siłę. Bo obowiązki nauczycielskie pozwolą p. Ludwigowi tylko drobną część roku poświęcić umiłowanej pracy na scenie.

Pierwsza krajowa fabryka lalek w Krakowie.

Fabryka lalek, stanowiących pożyteczny przedmiot zabawy dla dziewcząt, jest poza granicami naszego kraju silnie rozwiniętym przemysłem. Zdawałoby się, że lalka to drobnostka, której wyrób jest rzeczą nader łatwą. Tymczasem fabrykacya ta jest dość skomplikowaną i wymaga znacznego zasobu pomysłowości i staranności. W Niemczech istnieją setki fabryk, które zajmują się tylko tą produkcyą przy udziale tysięcy sił robotniczych i udoskonalonych maszyneryj.



A i u nas w kraju rozpoczyna rozwijać się ten dotąd tutaj nieznany przemysł. Jako pierwsza i jedyna powstała niedawno w Krakowie już powszechnie i zaszczytnie znana **fabryka lalek przy ulicy Wolskiej.** Wytwarza ona piękne i trwałe lalki przy pomocy wyłącznie sił miejscowych.

Zasługą tej fabryki jest, że rozpowszechnia lalki w naszych malowniczych strojach ludowych, które nawet zagranicą potrafiły zdobyć dla siebie niepodzielne uznanie, a niejednokrotnie i podziw. Z sukcesu tego powinniśmy być dumnymi. Dawniej musiało się lepszą lalkę sprowadzać z Niemiec lub z Francyi; dziś możemy się poszczycić, że nierzadko zagranica zamawia lalki z Krakowa.

Ostatnią nowością tej fabryki jest lalka o wielkości 50—60 cm., o udatnej figurze, nadająca się na podarki dla starszych dziewcząt, oraz jako model do nauki kroju i szycia. W tym ostatnim kierunku nabierają lalki także praktycznego znaczenia.

W tych warunkach rzeczą jest naszego społeczeństwa obdarzać młodą tę, a tak już piękne rezultaty wykazującą fabrykę, swojem poparciem, przez zaopatrywanie się u tej fabryki w lalki wrazie zapotrzebowania. W ten sposób tak pożyteczny przemysł krajowy nie upadnie, lecz rozwinie się jeszcze więcej na chlubę krajowej wytwórczości.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 32.

Zadanie przysłowiowe: Syty głodnemu nie wierzy.

Logogryf:

A s s u r
A r p a d
B i r e t
B l a g a
G a w o t
K a a b a
I s t r a
H a a g a
F a r y s
C y n n a
D r o z d
G a w i a
E s s e x
J a k ó b
F l i r t
A m e b a
K a j a k

Zadanie do przestawienia: Co nagle to po djable.

Szarada: Gawrony.

Zadanie do przestawienia: Jaka praca, taka płaca.

Szarada: Barbakau.

Zadanie do przestawienia: Nie zawsze świętego Jana.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Banaś Sanok, J. Obmiński Lwów, M. Garbaczyńska Krosno, S. Lewicki Kraków, M. Komańska Sandomierz, K. Kobyłecki Kraków, J. Pankowski Lwów, M. Dutkiewicz Przemyśl, S. Charlewski Kraków, W Serwański Jaworów, D. Grażyńska Sanok, O. Górkowa Chyrów, M. Planecka Białka, F. Gebhardt Białka, W. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, M. Więckowska Biała, J. Uruski Warszawa, J. Romański Sandomierz, W. Ostrowski Rzeszów, K. Świderski Kołomyja, S. Augustynowicz Kołomyja, J. Balicki Kraków, S. Tokarski Tarnopol, M. Sysak Jasło, K. Radwański Tarnobrzeg, J. Żybura Jarosław, S. Lisowski Rzeszów, K. Dzikowski Tarnów, J. Malicki Wadowice, H. Silbermann Żywiec, M. Muszyńska Kamionka, J. Czarkowski Lwów, K. Armatys Ulanów, S. Piątek Podwołoczyska, H. Sawicka Złoczów, J. Barnat Sanok, K. Decowski Stanisławów, H Dekułowska Rożnów, H. Bandrowski Warszawa, J. Kwaśniewski Lisko, K. Marusiński Nowy Sącz, M. Libichowa Radom, J. Ceglecki Poznań, S. Radoszewski Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce. H. Ohrenstein Lwów, J. Trzeciak Kołomyja, C Wang Tarnobrzeg, H. Engelberg Rzeszów, K. Staniszewski Przemyśl, J. Nowacki Kraków, H. Brzeziński Kraków, M. Kozłowska Sanok, L. Pick Warszawa, S. Lemiszewski Lwów, J. Wojkowski Stanisławów, M. Aleksiewicz Kołomyja, H. Gliński Rzeszów, M. Wojciechowski Kołomyja, R. Kunicki Oświęcim, J. Horak Chrzanów, G. Kozicki Drohobycz, S. Rosenzweig Czerniowce, W. Romański Sambor, J. Wyka Sanok, M. Zachara Kraków, J. Suski Kraków, L. Ciszewski Kraków, J. Narek Kołomyja, K. Trexler Wiedeń, J. Bahr Warszawa, K. Doliński Piotrków, B. Wirski Łobzów, G. Gryziecka Tarnów, W. Thun Płock, K Cielecki Zakopane, J. Medyński Zakopane, M. Dropiowska Krynica, M. Krzyżanowska Krynica, J. Lipińska Zakopane, K. Kaim Kraków, B. Bossowski Ryglice, K. Fuchs Czeremchów, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska Bogucice, K. Zegartowska Bogucice, J. Jaworski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. *H. Silbermann Żywiec.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Dziewulski: Wszystkie trzy fotografie, o których WPan wspomina, posiadamy i możemy je odstąpić po cenie własnych kosztów t. j. po dziesięć koron za sztukę. Po nadesłaniu trzydziestu koron wyślemy odwrotnie.

WP. A. Bocsoń, Bóbrka: Przepraszamy za zwłokę, która wynikła z opóźnienia się introligatora.

WP. J. Badura, Rożdzień: Wysyłamy według wskazanych adresów.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

21

Pan de Lagunan skłonił się przed nią i rzekł:

— Jak się cieszę, że panią wreszcie widzę. — I uśmiechnęł się.

Młoda panna, bardzo tem zdziwiona i zmieszana, odkłoniła się machinalnym ruchem głowy. Zadowolona była, że do tej pory z dawnych znajomych, bawiących u państwa Lagunan, spotkała tylko panią Radoux. A teraz znalazła się nagle sam na sam z baronem! Obecne wzruszenie nie mogło być nawet porównane ze wzruszeniem, jakiego doznała na widok Piotra, lecz i to ją rozstroiło.

Tymczasem Raul de Lagunan, uśmiechając się ciągle, mówił dalej.

— Ach, jaką tajemnicą pani się okryła! Nie daje pani o sobie wieści! Nie chce pani, by wiedziano, co się z panią dzieje!

Nauczycielka nigdy nie była wysokiego mniemania o inteligencyi barona, a teraz słysząc jego niby uprzejme a podstępne słowa, zastanawiała się czy przypadkiem nie jest on jeszcze pod wpływem jakiej libacyi.

— Niech też pani sobie wyobrazi, jakie o pani kursują pogłoski... Podobno, że pani została praczką...

Ludwika, oszołomiona tem wszystkiem, ledwie zdołała wyszeptać:

— Proszę pana...

— Praczką! Czyż to prawda?... Niestety... Widzę, że to prawda!... Och! jaka pani zachwycająca, tak, zachwycająca! Rozkoszna niezwykłość! Lecz czy pani zauważyła, że w tym kostyumie skromnej pracownicy jest pani cudownie, bosko do twarzy? Słowo honoru.

Młoda panna z początku zapłoniła się cała, potem zbladła jeszcze bardziej. Domyśliła się nagle, co mają znaczyć słowa barona. Mówił do niej, jak do panny, która weszła na złą drogę.

— Najlepsze jednak żarty są najkrótsze — mówił dalej „neurastenik“. — Spodziewam się, że pani wkrótce ukaże się znowu w świecie, ale zajmie tym razem stanowisko nie nauczycielki, lecz to, jakie pani przysługuje. Piękne pani oczy muszą jaśnieć na szerszej arenie.

Raul de Lagunan, zachwycony swem zdaniem, które bardzo mu się podobało, uśmiechnął się znowu i podkręcił ze zwycięską miną swe wąsy. Dodał przytem zaraz:

— Porozmawiajmy poważnie. Czy pozwoli mi pani opiekować się sobą?

Ludwika nie domyślała się, w jaki sposób baron zamierza się z nią opiekować. Ponieważ jednak nie chciała nic być mu winną, ani też utrzymywać jakichkolwiek stosunków z Lagunanami lub ich znajomymi, odpowiedziała bez wahania:

— Dziękuję panu, lecz wystarczę sama sobie.

— Och, jaka pani nie dobra; to nie jest jednak ostatnie pani słowo — odparł baron.

— Tak, panie!

— Nie, mówmy szczerze... Kiedy pani zamyśla opuścić pralnię, w której pani pracuje?

— Nie myślę wcale jej opuszczać.

— To niemożliwe! Pani chyba żartuje?

— Nie mam ochoty do żartów...

— Tak... tak... Widzę jakiś smutek w tych wielkich oczach... Lecz ja tu jestem, by panią pocieszyć... Niech mi pani zwierzy swe zawody.

Raul de Lagunan chciał wziąć za rękę młodą pannę, lecz ta cofnęła się w tył.

— Och, nielitościwa! — ciągnął dalej baron. — Nie pani mnie posłucha! Mówmy mało, ale za to dobrze! Panno Ludwiko, jest pani cudowną... Zawsze panią za taką uważałem... Nie śmiałem jednak wyrażać tego, gdy pani była u mnie... Od odejścia pani marzyłem tylko o tem, by panią ujrzeć... Proszę osądzić i uznać mą rozpacz... W chwili, gdy mogłem wreszcie wyznać pani swe uczucie, pani zniknęła!... Co za fatalność!... Szczęśliwy jednak traf pozwolił mi znaleść się w towarzystwie pani...

Raul de Lagunan przerwał potoki swej wymowy. Ludwika jeszcze o krok cofnęła się w tył i podnosząc rękę, nakazała mu milczenie. Coraz jaśniej teraz pojmowała, że baron nie tylko traktuje ją jak dziewczynę, której cnota nie nakazuje żadnego szacunku, lecz nawet ośmiela się czynić jej propozycye, uwłaczające jej dobremu imieniu. Oburzona też tem była i bardzo boleśnie dotknięta. Zmieszana i rozżalona nie potrafiła przerwać odrazu tej rozmowy.

Baron zakłopotał się narazie, lecz zaraz zaczął mówić dalej:

— Proszę więc bardzo, niech pani nie będzie...

— Dosyć, panie! — zaprotestowała Ludwika.

I odwróciła się od niego, pragnąc się oddalić. Ceglasta twarz barona stała się teraz fioletową. Sprawa przyjmowała zły obrót. Przybliżył się znowu do młodej panny.

— Tylko dwa słowa... — prosił.

— Nie, panie. Za dużo już od pana słyszałam.

— Jedno słowo tylko! — nalegał, wyciągając rękę, by ją przytrzymać, gdyby chciała odejść bez wysłuchania go. — Niech pani pozwoli mi tylko powiedzieć, w jaki sposób chce pani, bym dowiódł swej miłości... Będę niewolnikiem pani... Najdrobniejsze pani życzenia będą spełnione...

Pan de Lagunan, nie spostrzegając tego, powtarzał bezmyślnie zdania, jakie wyczytał z powieści, lub słyszał na scenie. Zawsze tak czynił, gdy sytuacya wydawała mu się poważną lub też romantyczną. Nagle przyszła mu do głowy myśl, którą uznał za genialną. Ludwika Dubois zostanie odrazu olśniona i pokonana.

— Nie cofnę się przed żadnem poświęceniem! — zawołał żywo. — Będę nie tylko rozrzutnym... Będę także ekscentrycznym... Uwaga całego wielkiego Paryża, który się bawi, będzie zwrócona na nas dwoje i pani zostanie uznana za królowę „neurasteników“. To jeszcze nie koniec!... Czy pani wie, że ofiaruję pani pałacyk i powóz do wyjazdów... Powóz samochodowy!... A teraz, co pani na to powie?...

Baron nie posiadał się z radości. Zachwycony był własną pomysłowością. Od tylu lat szukał nadaremnie jakiego oryginalnego pomysłu, któryby obudził sensacyę i wzniecił zazdrość we wszystkich „neurastenikach“. I teraz ma myśl, nie tylko oryginalną, ale i praktyczną. By wygrać zakład i uwieść młodą dziewczynę, ofiaruje jej samochód, który właśnie stanowi przedmiot tego zakładu. Pomysł ten był niezrównany.

Ludwika jednak nie ruszała się. Widziała ruch Raula de Lagunan, by ją zatrzymać, nie chciała więc, by się jej dotykał. Musiałaby go odepchnąć i scena ta ze śmiesznej, stałaby się wstrętną i ordynarną. Lepiej było poczekać, aż ten głupi „neurestenik“ przestanie mówić. Musi wreszcie zamilknąć i odejść. Młoda panna z surową miną i z oczami zwróconemi w przeciwną stronę udawała, że nie zwraca najmniejszej uwagi na tego niespodziewanego swego adoratora.

Wielbiciel jednak po krótkiej przerwie mówił dalej:

— I co? Pani nie odpowiada?... Panno Ludwiko... Niech pani się namyśli... Tak... tak... Nie można się decydować odrazu... Rzeczywiście! Niech mi pani tylko powie, gdzie i kiedy mogę panią zobaczyć... Ależ, sapristi, niech że pani mówi! Co? Pani odmawia mi wszelkiego rendez vous?

— To w takim razie nie ma za grosz serca! — odezwał się nagle za nimi jakiś ochrypły głos.

Ludwika omal, że nie krzyknęła, baron zaś obrócił się szybko. Była to Julia, która już powróciła.

Z daleka już zobaczyła postać pana w cylindrze koło swej towarzyszki i zaintrygowana tem, zbliżała się do nich po cichu, idąc koło murów domów. W ten sposób usłyszała ostatnie zdanie barona i mogła na nie odpowiedzieć.

Ludwika, uspokojona widokiem Julii i będąc pewna, że Raul de Lagunan przestanie już ją napastować, schwyciła koszyk za ucho i rzekła do praczki:

— Chodźmy!

— Ludwiko... Proszę pani... — nie przestawał prosić baron.

— Zabraniam panu iść za sobą.

I młoda panna, idąc jak mogła najspieszniej, skierowała się do centrum miasta. Julia umyślnie dała się ciągnąć. Żałowała, że trzeba było opuścić tak eleganckiego mężczyznę. Obróciła się też kilka razy, by go nie stracić z oczu.

— Ach, jaka ty jesteś głupia! — rzekła do Ludwiki. — Taki szykowiec! Nie mogłaś mnie pozwolić, bym na nim zarobiła?

Wzięła barona za zwykłego przechodnia. Ludwika przyśpieszała kroku. Obawiała się, by nie przyszła mu ochota znowu jej zaczepić.

— Cóż tak się śpieszysz! — skarżyła się Julia. Nagle puściła ucho koszyka i zatrzymała się.

— Poczekaj tu na mnie chwilę! — [illegible] — Muszę podejść do niego, by mu coś powiedzieć.

— Komu co powiedzieć?... — zdziwiła się Ludwika.

— Twemu jegomościowi!

— Co?

— To niech cię nie obchodzi.

I prasowaczka szybko zawróciła się.

— Julio!... — wołała Ludwika.

Julia jednak była już daleko i nie słuchała.

Ludwika została sama z koszykiem, pośrodku chodnika. Na drugiej stronie bulwaru jakiś cień znikł w załamie murów.

Był to ajent, który się zatrzymał, widząc, że Ludwika stanęła. Gdy siedziała na ławce, przeszedł przez ulicę i schował się w pobliżu za drzewo, żałując, że nie może słyszeć rozmowy, jaką z nią prowadził baron.

Tymczasem Julia odnalazła barona na miejscu, na którem stał poprzednio. Zdawać się mogło, że wrósł jak drzewo korzeniami w ziemię. Raul de Lagunan był bardzo zmartwiony. Nie mógł sobie wytłómaczyć uporu Ludwiki, która milczeniem odpowiadała na jego propozycye. Tak mało istnieje kobiet, któreby odmówiły przejażdżki zwykłą samochodową dorożką, a ona pozostaje nieczułą na ofiarowany sobie własny samochód! Czyż jej jeszcze mało, że będzie zadziwiała cały Paryż, jadąc razem z baronem de Lagunan, najbardziej znanym człowiekiem w wyższym świecie? Czegóż ona jeszcze chce?

— Proszę pana!... — zawołała zadyszana Julia. — Rendez vous, o które pan prosił moją przyjaciółkę...

Posępna twarz Raula de Lagunan zaraz się rozjaśniła.

— I co?... — zapytał żywo.

— Zdecydowała się panu dać!... Ach, może pan się pochwalić teraz szczęściem!

Baron promieniał radością.

— Tak, tak — powtarzał swym dźwięcznym głosem, tonem zwycięscy.

— Ludwika musi na pana lecieć! — ciągnęła dalej Julia — gdyż zwykle ona tak łatwo się nie daje.

Praczka chciała w ten sposób rozbudzić jeszcze więcej pożądliwość barona.

— Jednem słowem, niech pan czeka tutaj — zakończyła.

— Tutaj?

— Tak... Prosiła, by panu powiedzieć, że będzie

tutaj za pół godziny... albo za godzinę... może później, może wcześniej... jak tylko będzie mogła wymknąć się z pralni...

— Dobrze! Bardzo pięknie!

— Do widzenia.

— Do widzenia, moja mała!... Dziękuję ci!... Proszę to przyjąć!

I baron wyjął z woreczka pieniądze.

— Ach, proszę pana! — zaprotestowała Julia, starając się wyrazić oburzenie swem jedynem okiem. Za kogo pan mnie bierze? Ja nie dla tego wróciłam to panu powiedzieć.

— Przepraszam! — rzekł baron, cokolwiek zdumiony.

I uchylił swego lśniącego cylindra.

Julia skłoniła z godnością głową, obróciła się szybko i pobiegła do Ludwiki.

Młoda prasowaczka stała z koszykiem w ręku i starała się wypatrywać swą towarzyszkę w mroku nocnym, który stawał się coraz gęstszym. Bała się, by Julia nie wróciła w towarzystwie pana de Lagunan. Odetchnęła też swobodniej, gdy ujrzała, że wreszcie powraca ona sama.

— Coś ty chciała powiedzieć temu człowiekowi? — zapytała.

Julia wzięła koszyk za ucho i ruszyła naprzód.

— Chcesz więc koniecznie wiedzieć?... Dobrze! Chciałam mu powiedzieć: „Mój staruszku, na bezrybiu i rak ryba... Moja przyjaciółka odesłała cię z kwitkiem, lecz ja jestem czulszego serca i pozwolę zaprowadzić się na obiad na bulwary, a potem do loży na operę...“

Ludwika nie nalegała już, czuła bowiem, że Julia kłamie.

Ta wielka chuda dziewczyna wiedziała, że nie jest przystojną i mogłaby powiedzieć to tylko żartami, gdyby była do nich skłonna. Lecz ona mimo swej młodości była, jak i jej przyjaciele apasze, raczej złowrogo szydercza, niż wesoła.

Gdy obie prasowaczki znalazły się koło bramy Champerret, Julia oznajmiła nagle:

— Wracaj sama... Muszę zajść w pewne miejsce.

— Dobrze — odrzekła Ludwika.

— A jeżeli matka Lambert będzie się pytała, gdzie jestem, powiedz jej, że poszłam do restauracyi na wieżę Eiffel, by wypić tam kieliszek szampana za jej zdrowie.

I zdanie to poparła groźnym ruchem pod adresem właścicielki pralni, poczem pobiegła wdłuż bulwaru Gonvion-Saint-Cyr. Niedaleko stąd, w pobliżu fortyfikacyi znajdowała się podejrzana restauracya, w której spodziewała się znaleść swych znajomych, zajętych grą lub absyntem.

W głębi zadymionej sali, czterech młodych ludzi grało zatłuszczonemi kartami i popijało jakiś mętny, zielonkawy trunek. Byli oni chudzi, bladzi, lecz o błyszczących oczach i ostrem wejrzeniu.

— Ocho, Lili zjawiła się — rzekł jeden z nich na widok wchodzącej praczki.

— W dobry moment — rzekł drugi, Nenesse, który zdobył sobie serce Julii.— Tak, moja mała— mówił dalej, zwracając się do przybyłej — jawiłaś się w sam czas. Przegrałem właśnie cztery absynty i paczkę papierosów.

Julia, rozumiejąc, co chce przez to powiedzieć jej przyjaciel, rzuciła na stół franka, którego dostała od Ludwiki.

— Siadaj do kompanii — zapraszał ją trzeci gracz.

— Henryk! — wołał czwarty na garsona. — Jeden mały!

— Nie! — odparła Julia. — Nic nie przynoś!

Potem zniżyła głos i dodała:

— Prędko! Dobry interes do zrobienia! Tylko zaraz.

W bladych twarzach tych czterech młodych ludzi, odrazu nastąpiła radykalna zmiana. Nachylili się, skupiając razem, tak iż głowy ich stykały się z sobą nad stołem. Wzrok ich stał się jeszcze dzikszym i bardziej błyszczącym.

— Jaki interes? — zapytał krótko Nenesse.

— Na bulwarze Bineau stoi bardzo szykowny facet, który czeka na jedną prasowaczkę z pralni...

— W której stronie bulwaru?

— Pięćdziesiąt kroków za angielskim kościołem... ale z drugiej strony.

— Idąc z Paryża na prawym chodniku?

— Tak.

— A ta prasowaczka nie przyszła już do niego?

— Wcale do niego nie przyjdzie.

I Julia wytłomaczyła im pospiesznie, w jaki sposób udało się jej naznaczyć rendez-vous temu nieznajomemu.

— Jest to szykowiec pierwszej mody z bulwarów — dodała. — Ma monokl, ubrany jest w szopy, ma świecący komin i wszystko na sobie pierwszej klasy... Można mu zajrzeć do kieszeni... Nie pójdzie do szpicli... Pomyśli, że posłała was ta praczka, którą zaczepił... Powiecie mu to, by był pewniejszy... A on nie będzie się tem chwalił.

— Idźmy! — rzekł Nenesse, wstając.

— Spieszcie się! — dodała Julja. — Ja wracam do pralni.

Wyszła pierwsza z restauracyi i pobiegła na ulicę Laugier. Pozostali chłopcy, wypili jednym tchem, to co mieli w kieliszkach i ruszyli na żer.

Tymczasem baron oczekiwał niecierpliwie na swą zdobycz. Pogwizdywał z zadowolenia, zacierał sobie ręce i podkręcał wąsa. Czuł się dobrze nastrojonym i układał zdania, jakiemi powita powracającą Ludwikę. Wspomnienia z romantycznych duetów, słyszanych w operze, napływały mu falą do głowy.

„— Dzisiaj służy mi wena!“ — powtarzał sobie z radością.

I gdy tak sobie układał cały plan postępowania z swą łatwą zdobyczą, nagle w cieniu nocy ukazały się cztery niewyraźne sylwetki. Po chwili stały się one jaśniejsze i baron spostrzegł, że zbliża się do niego czterech podejrzanych osobników.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

SZARADA.

Ułożyła M. Farbowska, Skawina.

Pierwsza z trzecią, słynny mąż
Z niewruszonej cnoty,
Za nim tedy w ślady dąż,
Gdyć nie brak ochoty.

W Franków kraju urząd znan,
To sylaba druga,
Niezależny dość to pan,
Chociaż kraju sługa.

W środku drugiej zmienić coś
I czytać odwrotnie,
Płodząc taki, czasem ktoś
Dobrze nad nim spotnie.

Płynie czasem trzeci w dal
Z fujarki pastuszej,
Budzi w sercu smutek, żal
I tęsknotę w duszy.

Całość, wirtuozie mój,
Przyrząd akustyczny,
Podług niego sobie strój
Instrument muzyczny.

ZADANIE LITERACKIE.

Ułożyła M. Farbowska, Skawina.

Wynaleźć po jednym utworze podanych niżej pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko jednego z polskich artystów, do niedawna mało znane.

Sienkiewicz	?
Kowerska	?
Orzeszkowa	?
Kraszewski	?
Zbierzchowski	?
Gawalewicz	?
Reymont	?
Zuławski	?

ARYTMOGRAF.

Ułożyła M. Farbowska, Skawina.

Cyfry zastąpić literami. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego wirtuoza.

2	4	10	16	18
4	10	1	13	14
6	8	5	9	7
8	16	10	4	7
10	4	6	17	4
8	6	15	16	11
12	8	10	12	4
14	4	11	15	10
16	9	7	4	16
18	14	3	4	5

Znaczenie wyrazów: 1. Boginie. 2. Mityczna postać. 3. Inaczej zły duch. 4. Rodzaj zasłony. 5. Książę hinduski. 6. Obwieszczenie. 7. Inaczej zapał. 8. Bożek leśny. 9. Pałac na Wschodzie. 10. Religia.

ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożyła M. Farbowska, Skawina

Z każdego z podanych wyrazów wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich nowe przysłowie:

Ort, psy, zez, cep, bzy, pęk, dno, Inn, noc, miś, leć, jar, cel, kos, tur, lew, pik, lek, mól, kra, ski, moc, dur, ton, koc, hak, koń, sód, rek, mur.

TRÓJKĄT MAGICZNY.

Ułożyła M. Farbowska, Skawina.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, w pierwszym rzędzie pionowym i poziomym dadzą niedawno minioną atrakcyę w Krakowie.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Starosłowiańskie bóstwo. 3. Inaczej zarządzający. 4. Umowa. 5. Środek, zastępujący cukier. 6. Utwór sceniczny. 7. Inaczej poczwarka (także i widmo). 10. Starożytna poetka. 11. Świątynia. 12. Zaimek. 13. Samogłoska.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Eugenii Zmijewskiej:* **Dola.** Powieść z przedmową E. Orzeszkowej. Wydanie drugie.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie